Miesięcznie 1 zł. 1 egz. 30 groszy.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

Moje Powieści
ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 18 października 1936 r. Nr. 42

W srebrzystych mgłach przyszła z oddali
Jesień złocista
I cudem barw znów się rozpala
W zielonych listkach.

Umilkła pieśń w polu pastusza
I sad posmutniał,
Tylko wśród wielkiej, wieczornej głuszy
Wichr łka, jak lutnia.

Daleka jest radość ode mnie,
Dalekie szczęście —
Wpatrzona w noc przedziwnie ciemną —
Zaciskam pięści......

JES  IEŃ

I taki żal mym sercem targa,
Że koniec pieśni
I taka wielka rodzi się skarga,
Że sen się prześnił.

To nic, że znowu jesień złota
Maluje pola,
Kiedy wróciła znowu tęsknota
I dawna dola.

Widzę ją w pierwszych zwiędłych liściach,
W starości ludzi,
Więc chociaż wokół tak złociście —
Żal znów się zbudził.

Maria Zemmlerówna.

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Rudy uśmiechał się na myśl o tych różowych widokach i zdawało mu się, że jaśnie pan tylko łaskawie żartuje.

— Wiem, proszę jaśnie pana, jak tam w Ameryce dobrze, mam to wydrukowane. — To mówiąc, ośmielony długą rozmową z jaśnie panem, wyciągnął z kieszeni jakiś nie bardzo czysty papier.

Hrabia przeczytał.

Były to niesumienne i kłamliwe zapewnienia jakiegoś agenta, że Ameryka to prawdziwy raj, gdzie można bawiąc się, dojść do majątku.

Niesumienny oszust dla własnego zarobku i zysku, nakłaniał w ten sposób nieświadomych mieszkańców wsi i przedmieść do sprzedaży majątku za byle jaką cenę i do kupowania kart okrętowych, przyczem sam zarabiał.

To też hrabia zaraz powiedział mu, że to nieprawda, że w Ameryce można się wprawdzie dorobić majątku, ale, że trzeba rzetelnie i uczciwie pracować.

Ryży uśmiechnął się.

— Mam tysiąc guldenów na początek — rzekł — to z pewnością będę miał szczęście i dalej.

— Być może. — rzekł hrabia. — A wobec żony będziesz umiał milczeć?

— Jak jaśnie pan rozkaże.

— Dobrze! — rzekł hrabia zadowolony i dał mu znak, że może iść.

— — — — —

— Pakuj się, bo wyruszamy! — zawołał ryży do żony, wróciwszy do domu.

Ona poznała zaraz po nim, że mu przydarzyło się coś szczęśliwego i pytała natarczywie o szczegóły.

— Pan hrabia mnie pochwalił! — objaśnił z dumą rudy.

— Ej, jeszcze coś musi w tem być. Pewnieś znalazł albo dostał jakie pieniądze.

— Ej, co to, to nie — śmiał się Mayer. — A knedle są, bo jestem głodny.

— Nie dam ci, póki mi nie powiesz, co się stało. Wstydziłbyś się mieć tajemnice przed żoną. Ja ci mówię wszystko, a ty przedemną ukrywasz różne rzeczy.

Przytknęła fartuszek do oczu, tak jakby płakała. — Niedawno jesteśmy po ślubie — mówiła przez łzy — a ty już się ze mną tak obchodzisz.

Na chwilę zamilkła. Potem wybuchła znowu:

— Takie ładne knedle zrobiłam, choć to jest rozrzutność robić na wieczór knedle, ale czegoż kochająca żona nie zrobi dla męża? A ty ładnie mi się za to odwdzięczasz. Będziesz żałował, czekaj, czekaj, że tak się ze mną obchodziłeś.

— Możem ciebie bił, albom ci jeść nie dawał? — z przekorą mówił rudy.

— Wolałabym, żebyś mnie bił, niż żebyś miał przedemną tajemnice! — i na nowo zaczęła płakać.

— No, już przestań beczeć, no, już ci powiem.

Zuzanna natychmiast zapomniała o łzach i paląc się z ciekawości, przysiadła do męża.

— No, co? Mów, mój złoty!

— Wygrałem! — kłamał Mayer.

— Ile? — przysuwając się do niego pytała żona.

— Dwadzieściapięć guldenów.

Ona objęła go za szyję.

— Kupisz mi korale i kolczyki takie, jak ma młynarka. Mój drogi, mój złoty, kupisz mi kolczyki?

— Jak będziesz posłuszna, to może. A teraz dawaj prędko jeść, żebym nie pojechał głodny.

— Jedziesz? Dokąd?

— Nie wiem, nie mówili mi.

— Gadasz głupstwa, ktoby to wierzył. Jedzie i nie wie dokąd.

— Jeszcze mi powiedzą.

— A kogoż odwozisz?

Nie wiem — spokojnie odpowiadał Mayer.

— Ty nigdy nic nie wiesz — złościła się Zuzia.

— Ej, coś trochę wiem, na przykład, że mam żonę ładną, że ją kocham i że ona mi nie chce dać jeść.

— Kto zakochany, ten nie myśli o jedzeniu — odpowiedziała Zuzia, stojąc przy kuchni i gotując.

— Ani o koralach, ani o kolczykach — dorzucił Mayer, krając sobie chleb.

— To ja tylko chcę na to, żeby się tobie lepiej podobać, a nie chodzić, jak straszydło na wróble.

Podała mu wnet knedle.

— Idź do stajni i powiedz, żeby zaprzęgli do bryczki.

A którego konia?

— Białego.

Zuzia pobiegła co tchu do stajni.

Rudy z upodobaniem patrzył za nią.

— Ładną mam żonę — pomyślał sobie — ale wiedzieć ona nie musi o wszystkiem.

ROZDZIAŁ X

Lew stolicy.

Hrabia Heribert był stanowczy. Od postanowienia, aby Wernera uchronić od mezaliansu, nie odstąpił ani na krok i ani chwili się nie zawahał. Zatelefonował też natychmiast po krewniaka Egona hrabiego Sturmefeder.

Telegram zastał tego pana o 7-mej wieczorem, gdy w towarzystwie t. zw. przyjaciela wybierał się do klubu.

Był to młodzieniec o rysach regularnych. Możnaby rzec, że był ładny, ale miał wyraz twarzy jakiś odpychający i niesympatyczny.

— A to cud doprawdy!? Zdziwił się — a raczej byłbym się spodziewał końca świata, niż telegraficznego zaproszenia od Wildensteina.

— Przyjmujesz? — spytał gość.

— Naturalnie — odpowiedział przez nos Egon, nasadzając monokl na nos.

— Hrabia Wildenstein ma pewnie kwiat pięknych dam u siebie.

— O nie! Co to, wcale nie. Stosuneczki z z szwaczkami i dziewczętami z ludu są nawet przyjemniejsze. Co?

— Skoro tam nie ma damulek, to nie pojmuję, że pan się decyduje na wyjazd.?

— No, — uśmiechnął się Egon — hrabia jest szczodry, — dwa razy zapłacił moje długi.

— Aha! Zrozumiał przyjaciel — i teraz po raz trzeci spotka go to szczęście!

— Zdaje się — sucho odparł Egon.

— A cóż Mala powie na to, że pan teraz przed wyścigami wyjedzie.

Hm! — mruknął Egon — ładna ona jest, ale za dużo mnie kosztuje. Nie pogniewałbym się, gdyby się na przykład tym wyjazdem obra-

ziła i zerwała ze mną. I tak już cztery tygodnie z nią utrzymuje stosunek — zaczyna być nudna.

— Czy ona nie była zaręczona z jakimś kramarzem, gdy się z panem poznała?

— Nie wiem dobrze — odpowiedział ziewając Egon — kramarz jakiś, czy urzędnik mały. Aha. Sklep miał z papierem. Gdyby nie ja, musiałaby już dziś za ladą męża sprzedawać papier.

Pogłaskał się po brodzie, kontent z siebie. Ani mu przez myśl nie przeszło, że złamał ciche szczęście dwojga ludzi.

Ona była u modniarki.

Poznał ją; pochlebstwami podbił i zawojował, by jej złamać życie i zdeptać nogami szczęście. Narzeczony jej z rozpaczy, z powodu jej upadku, rozpił się doszczętnie.

Cóż go to obchodziło?

Cztery tygodnie z nią się bawił, a co dalej z nią się stanie — o to nie pytał.

Zaczął szukać po kieszeniach. Wydobywszy kilka guldenów, szukał dalej i zrobił kwaśną minę.

— Nie wystarczy! — rzekł przez zęby — nie może mi pan pomóc na kilka dni paroma setkami... na kilka dni tylko?

— Żałuję mocno — bronił się zimno przyjaciel — właśnie jestem całkiem goły, spłukałem się wczoraj doszczętnie... odpływ w kieszeni.

— Moszko wstrzymał mi kredyt — złościł się Egon.

— Efroim panu pożyczy! — zapewniał życzliwie przyjaciel.

— Pojadę zaraz do niego i jeśli da, wyjeżdżam jutro rano. Odprowadzi mnie pan do Efroima?

O! nie! idę do niego tylko, gdy muszę! — odpowiedział z wymuszonym uśmiechem przyjaciel i zmienił zaraz temat rozmowy. — Na jak długo pan jedzie?

— Na kilka dni. Potem z lekkiem sercem i ciężką kieszenią wrócę.

— Do widzenia zatem.

— Dowidzenia!

Wyszli na ulicę.

Egon wsiadł do dorożki i pojechał do lichwiarza, przyjaciel zaś za chwilę był w klubie i opowiadał, że Egon na kilka dni wyjeżdża.

Co prawda, wielkiego wrażenia wieścią tą nie wywołał.

Egonowi zaś nie trudno było skłonić Efroima do udzielenia pożyczki.

Wprawdzie lichwiarz narzekał wprzód na złe czasy, straty, niepunktualnych, niesumiennych, złych dłużników i zapewniał, że jest bardzo, bardzo biedny, że ledwie ma na utrzymanie swojej rodziny. Ale gdy Egon popokazał telegram od hrabiego Wildensteina, pożyczył mu wreszcie na weksel połowę żądanej sumy.

Egon był zły, że dostał mało.

— Będę się musiał bogato ożenić! — pocieszał się z kwaśną miną — a to będzie jedyny ratunek. Ciężki to krok oddać wolność złotą, ale co robić? Teraz jeszcze poratuje mnie stary Wildenstein chwilowo, ale potem, jeżeli kto — to tylko teść. Biedny, nieszczęśliwy taki szlachcic jak ja. Werner, kuzynek, ma się dobrze. Żebym ja to miał, co on!

Westchnął i wstąpił do winiarni się pocieszyć. Wbrew zwyczajowi, nie siedział tam długo i wrócił do domu ku wielkiemu zdziwieniu lokaja, któremu kazał spakować kuferek i obudzić się o godz. 5 rano.

— O pół do siódmej muszę już być na dworcu kolejowym! — dodał.

— Co jeszcze jaśnie pan rozkaże? — pytał lokaj.

— Możesz iść.

Lokaj wyszedł na palcach.

Źle był płacony i źle się z nim pan obchodził, ale on usługiwał mu bardzo dobrze i wiernie. Hrabia onieśmielał zręcznie służbę tak, że zadawalała się czem bądź.

Lokaj ściśle wypełnił i teraz rozkazy pana i z uczuciem ulgi widział go o pół do siódmej wsiadającego do pociągu.

Na ostatniej stacji czekały na gościa konie.

Egon spytał o zdrowie starszego pana i nie czekając odpowiedzi, rozparł się w powozie.

Ogniste rumaki ruszyły z miejsca galopem, ale jemu droga wydawała się długa.

Nareszcie przybył na miejsce.

Umył się i przebrał w swoim pokoju, potem poszedł do jadalni, gdzie czekali nań stary i młody hrabia.

Werner chciał już wyjechać do Felseg i z trudem tylko dał się namówić, żeby krótki czas jeszcze został.

— Wczas jeszcze tam przybędziesz — z dziwnym uśmiechem mówił stary. — Przywitaj się wpierw z Egonem.

Werner ustąpił żądaniom dziadka, aby mu we wszystkiem okazać posłuszeństwo, z wyjątkiem tej jednej sercowej sprawy.

Egon przywitał się bardzo uprzejmie i po wielkomiejsku.

Zrozumiał odrazu, że między dziadkiem a wnukiem jest jakieś nieporozumienie i rozejrzawszy się w sytuacji, postanowił o ile się da, w mętnej wodzie ryby łowić.

Knuł w duchu plany, by ich bardziej jeszcze poróżnić, a tymczasem robił słodkie miny, zajadał smaczne potrawy i popijał dobre wino.

— Musimy powitać gościa — rzekł stary hrabia uderzając się z nim kieliszkiem.

Werner zrobił to samo, ale tak silnie, że kieliszek jego się stłukł i purpurowy płyn rozlał się po śnieżno białej serwecie.

Werner nie był zabobonny, a jednak na ten widok niemiło mu się zrobiło.

— Dziś jeszcze wyjadę — pomyślał — w towarzystwie tego kuzyna duszno mi jakoś. U siebie odetchnę swobodnie. Zajęcia będzie dość, aby stare zamczysko uporządzić na przyjęcie mojej najdroższej.

Na myśl o niej, twarz mu się rozjaśniła.

Po uczcie pożegnał się.

— A to dokąd? — spytał Egon napozór obojętnie, ale w istocie bacznie.

— Do Felseg.

— Tymczasym ty mi będziesz towarzyszył Egonie — rzekł stary hrabia — mam dla ciebie zajmujący temat do rozmowy.

Egon z uśmiechem skłonił się i życzył Wernerowi dobrej zabawy.

Wernerowi zdawało się, że poza jego słowami kryje się już świadome szyderstwo, ale podziękował z uśmiechem.

ROZDZIAŁ XI.

Werner nie chciał wyjeżdżać, nie pożegnawszy się z Sylwią.

Pospieszył więc do leśniczówki. Zastał narzeczoną w ogródku, składającą bukiet z róż i lilii.

Spojrzała nań wzrokiem pełnym miłości, ale i troski.

Po powitaniu opowiedziała mu, że ma jakieś złe przeczucia.

— Obawiam się — rzekła, że ci grozi jakieś niebezpieczeństwo.

— Cóż mi może grozić? — uspakajał ją Werner. — Niepokoisz się niepotrzebnie.

— Do Felseg musisz przejeżdżać około Czartowskiego Jaru, tam nad bezdenną przepaścią prowadzi wąziutka droga. Mój złoty zrób to dla mnie i jedź gościńcem. Nałożysz trochę drogi, a mnie zdejmiesz troskę z serca.

— Ale owszem — rzekł Werner, wzruszony troskliwością narzeczonej, ale za to uśmiechnij się do mnie. Za dwa albo trzy dni wrócę i przywiozę ci plan zamku Felseg i uradzimy wspólnie, jakie zmiany trzeba tam zaprowadzić. Daj mi jedną różę.

Przypięła mu różę do piersi, a on chwycił jej rękę i ucałował serdecznie.

Ona usunęła ją łagodnie.

— Dobrze że księżyc świeci — rzekła — będzie ci jasno jechać.

— Myśl o tobie, uprzyjemni mi drogę.

— I ja myślę o tobie — wyznała rumieniąc się Sylwia. Rano i wieczór i przez cały dzień, wciąż ty jesteś przy mnie.

— Moja złota — szepnął z wdzięcznością — pocałuj mnie.

Nieśmiało dotknęła ustami jego czoła i uciekła.

Pobiegł za nią, podziwiając jej smukłą zgrabną postać. Zdawało mu się, gdy tak patrzał na nią, że zna ją już od Bóg wie jak dawna.

Poszli oboje do rodziców i Werner pożegnał się z nimi, jak sądził, na dwa dni.

Czy rzeczywiście nie miało upłynąć więcej dni, tygodni i miesięcy przed powtórnem zobaczeniem się ich?

Sylwia jednak przeczuwała zdaje się coś złego, bo była blada, łzy napływały jej do oczu i wciąż prosiła go, by nie wyjeżdżał, lecz został w Königswalden.

— Nie mogę — przekonywał ją Werner. — To wszystko tylko na to, żebyśmy się prędzej mogli połączyć.

Sylwia westchnęła.

Gdy ucałowawszy ją wsiadł na konia i pojechał, trwoga ogarnęła jej serce, chciała wołać za nim, by wrócił, chciała pobiec za nim, by go zatrzymać, ale nie mogła się z miejsca ruszyć.

Zobaczyła nagle jakieś kręgi ogniste przed oczyma, zachwiała się i padła zemdlona w objęcia matki.

Katarzyna zdziecinniała ze starości, zobaczywszy ją w tym stanie, krzyknęła: Jaka ona podobna do tej kobiety, którą znaleziono wtedy w leśniczówce.

— Cicho bądź — wiesz przecie, żem ci zakazała o tem mówić.

— Ja też nic nie mówię, tylko, że taka podobna i zdaje mi się, że panu hrabiemu właściwie to trzeba powiedzieć, żeby wiedział, kto jest jego narzeczona.

— Powiemy mu, gdy wróci — niezadowolona odrzekła Magdalena, ale teraz cicho bądź, bo Sylwia może się obudzić.

Rzeczywiście Sylwia otworzyła oczy i spytała o narzeczonego.

— Pojechał do Felseg — uspakajała ją matka — ale widzę — dodała żartobliwie, że zaczynasz już grać rolę hrabiny, jesteś nerwowa, mdlejesz jak wielka pani.

— Strasznie się boję, żeby się jemu co nie stało, coś mnie tak przygniata.

— Może jesteś chora? uważam, żeś straciła apetyt.

— Chora nie, tylko ta jakaś obawa mnie nęka.

— Co ci się stało? Zawsze byłaś dzielną dziewczyną, a teraz urojenie jakieś i zaraz bledniesz i drżysz. Gdyby cię tak Werner zobaczył, myślałby, że ci się Bóg wie co stało, musisz panować nad sobą!

Sylwia chciała usłuchać, wstała, wzięła robotę i siadła do stołu.

Chwilę pracowała, ale wnet opadły jej ręce i łzy puściły się z oczu gdy szeptała: Ojcze Niebieski, osłoń go tarczą swej opieki przed wszelakiem niebezpieczeństwem.

ROZDZIAŁ XII.

Grób za życia

Księżyc rozsiewał srebrne światło po górach; szum drzew i szmer źródeł, cichy trzask upadającej suchej gałązki, lekki szelest biegu jakiejś zwierzyny i trzepotanie skrzydeł ptaków nocnych, składały się na muzykę nocy.

Werner jechał bitym gościńcem, nieczuły na urok otoczenia.

Wyobrażał sobie w myśli raj o wiele piękniejszy, który mu się otworzy w chwili, gdy Sylwia będzie jego żoną.

Marzenia te skróciły mu czas drogi i aż się dziwił, gdy stanął nagle u celu podróży.

Zdziwienie jego spotęgowało się, gdy w Felsegu zobaczył starego lokaja Gerharda.

— A ty tu skąd? — spytał.

— Jaśnie pan hrabia rozkazał.

Werner ucieszył się.

Uważał, że to jest dowód, że staruszek nie jest taki nieubłagany.

— Idźcie spać, Gerhard — rzekł uprzejmie — nie trzeba było do tak późna czekać na mnie.

— Nie mógłbym wcześniej zasnąć — odrzekł sługa.

— Czyście chorzy? — zapytał Werner ze współczuciem.

— Zmartwiony jestem — szepnął cicho wierny Gerhard.

— Może wam mogę dopomóc! — spytał Werner.

— O i jak mógłby jaśnie pan dopomóc? — zawołał Gerhard uradowany.

— Ach, gdyby tylko jaśnie pan zechciał.

— No, mówcie — wszystko dla was zrobię, co tylko będę mógł.

Jakież było zdziwienie Wernera, gdy staruszek rzucił mu się do nóg i na wszystko w świecie zaczął go błagać, by wrócił do dziadka i był mu posłusznym we wszystkiem. Żeby nie zgrzeszył przeciw czwartemu przykazaniu, żeby się pozwolił przestrzec, bo stoi nad przepaścią.

Werner zmarszczył brwi i powiedział dumnie i zimno: Zawsze byłem posłuszny dziadkowi i chcę nim być nadal, ale tu, gdzie chodzi o całe moje życie, nie mogę ustąpić.

— O jaśnie panie — boleśnie zawołał starzec — pan nie przypuszcza, jakie to będzie miało skutki.

— Ależ wiem, chce mnie wydziedziczyć — spadek i tak nie przeszedłby na moich potomków z tego małżeństwa z nieszlachcianką. Ma

to Egon dostać po mojej śmierci, niech bierze teraz.

— Stary sługa westchnął.

— Jaśnie panicz nie rozmyślił się?

— Wstańcie. — Każde dalsze słowo gniewałoby mnie. Pokój dla mnie przygotowany?

— Tak jaśnie panie — niebieski pokój. Co jeszcze jaśnie panicz każe?

— Idę do siebie. Przyślij mi wina.

Gerhard za chwilę przyniósł drżącą ręką wino i nim je podał, spytał raz jeszcze:

— Jaśnie panicz nie rozmyślił?

— Nie, odparł Werner i wychyliwszy kieliszek, rzekł:

— Jakiś przysmak ma to wino. Dajcie mi wody i idźcie spać.

Ostatnie słowa wyrzekł już z trudem.

Teraz głowa mu opadła i powieki się zamknęły.

Usiłował otworzyć oczy, ale nim się zmiarkował, co się dzieje, mgła jakaś zasłoniła mu myśli.

Oddychał głęboko i powoli.

Spał.

Gerhard wróciwszy z wodą, pokiwał stroskany głową.

Pochylił się nad nim, jakby go chciał obudzić i ratować.

Ale moc przyzwyczajenia do posłuszeństwa staremu hrabiemu zwyciężyła.

Od dziecka słuchał rozkazów swego rówieśnika i pana.

— Czy ja wiem — szeptał — jaśnie paniczu co lepiej jest dla dobra twego.

Otworzył drzwi przyległego pokoju.

Tam czekało dwóch ludzi.

Jeden z nich znany Szanownym Czytelnikom rudy Mayer, drugi był Alojzy, kasztelan, ponury człowiek o dzikiem wejrzeniu.

— Weźcie pana hrabiego i zanieście do piwnicy.

— Panie Gerhard, ta co pan robi takie durne żarty — rzekł Mayer.

Alojzy nic nie powiedział, tylko z podełba spojrzał na nich.

— Róbcie, co każę — rzekł Gerhard.

— A jakże, taki zaraz zaczynam — zuchwale odparł rudy.

— Pan hrabia rozkazał — on wam za to zapłaci!

— Gerhard! — rzekł Mayer — wprawdzie pan hrabia obiecał mi dużą sumę, ale za nic w świecie tego, żeby jaśnie panicza na całe życie do...

Gerhard przeciągnął się.

— Na całe życie!? — zawołał — na kilka dni tylko!

— Na co to?

— Jaśnie pan już wie. Nasz panicz chce się unieszczęśliwić, temu jaśnie dziadek chce przeszkodzić.

— A tak! uspakajał się rudy — i to naprawdę na kilka dni tylko?

— Ależ naturalnie.

— No, to dobrze — parę dni nic mu nie zaszkodzi przesiedzieć w ciemnicy.

— Wziął z Alojzym Wernera i podnieśli go ostrożnie.

Śpiący niespokojnie się poruszył, ale nie obudził się z narkotyku.

Gerhard szedł pierwszy i świecił.

Za nim dochodziły głucho ciężkie kroki niosących, a echo odbijało się o sklepienia.

Przeszedłszy długi korytarz, dostali się do skrzydła zamku, którego ząb czasu mocno już uszkodził.

W obszernej sali znajdowały się na środku sztucznie ukryte w podłodze drzwi spadające.

Pod niemi szeroka drabina prowadziła do podziemia.

Stękając i sapiąc spuszczali się Alojzy i Mayer z ciężarem swym po drabinie.

Na dole złożyli Wernera na przygotowanem tam łóżku i milcząc wyszli.

— Wróćcie Mayer do Königswalden i zamknęli drzwi w podłodze tak sztucznie, że przyglądając się, najbystrzejsze oko by ich nie odkryło.

— Wróćcie Mayer do Koenigswalden i zameldujcie, że rozkaz jest spełniony.

— Słuchaj pan — rzekł Mayer na to zakłopotany, mnie się ta historia nie całkiem podoba.

Alojzy mruczał coś pod wąsem ze złośliwym uśmiechem.

— Umiecie to otwierać? — spytał go Gerhard.

— Umiem! — odpowiedział ponuro.

— No, ja w każdym razie tu zostanę, aż się jaśnie panicz obudzi. Sam go będę pilnował — nikomu bym tego nie powierzył.

Rudy stał z głupią miną.

— Czego chcecie jeszcze? — spytał ostro Gerhard.

— Jaśnie panicz zawsze był taki dobry dla mnie. Żałuję już, żem pana usłuchał.

— — — — — — — —

Po długim czasie Werner obudził się z ciężkiego snu.

Śniło mu się, że go żywcem włożono do trumny.

Nad nim stał dziadek i Sylwia.

Rozpaczała i lamentowała, że mu się serce krajało.

Chciał jej powiedzieć, że żyje, ale nie mógł wydobyć głosu.

Palcem nawet nie mógł ruszyć, członki miał jakby sparaliżowane.

I oto wieko zakładają na trumnę i przybijają.

Trwoga śmiertelna go opanowała.

Żywcem go chcą pogrzebać!

Żeby też mógł krzyknąć!

Ale nadaremnie!

Słowa nie mógł wydobyć.

Dzika trwoga go chwyciła, jak żmija dusząca zwojami cielska pierś ofiary, a w mózgu czuł wśród ciemności jakby węże płomieniste.

W grobie powietrze było duszne strasznie.

— Niedługo wytrzymam tu — myślał w trwodze śmiertelnej. Powietrza nie starczy.

Zdawało mu się, że się już dusi.

Znowu chciał krzyknąć i nie mógł, gdy w tem usłyszał głos Egona: Przyjemnej zabawy.

I te same słowa powtarzała zgraja małych diablików.

Zbudził się.

Skroń okrywały krople zimnego potu.

Zerwał się.

Ciemno.

Z czarnych czeluści w koło, duszne powietrze wiało ku niemu.

Czy śnił jeszcze?

Wyciągnął rękę po zapałki.

Ale nie znalazł jak zwykle obok łóżka stolika, światła, ani wody.

Szukał dzwonka po ścianie.

Dotknąwszy się ściany, struchlał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KAZIMIERZ ŁAGANOWSKI

3)

Niebezpieczny Gość

Powieść

— Nie przeczę... Staliśmy wprost siebie długą chwilę, nie mogąc przemówić słowa z wielkiego zadziwienia. Dopiero kiedy się opamiętałam, usiłowałam cofnąć się szybko i zejść z oczu młodemu człowiekowi. Ten widocznie przewidział mój zamiar, bo postąpił ku mnie żywo i przemówił:

— Pani! Ktokolwiek pani jesteś — istotą żywą, czy też nadziemskiem zjawiskiem — proszę cię, pani, nie odchódź stąd z mego powodu. Widziałem, że chciała pani wejść do altany i może spocząć tu sobie, a tylko moja obecność przeszkodziła temu... Oddalę się stąd natychmiast, lecz — racz pani darować mi moją śmiałość — byłbym ogromnie szczęśliwy, gdybym wiedział... gdybym mógł poznać pani nazwisko...

Głos miał o brzmieniu metalicznem, tak przyjemnem dla ucha, a mówił z takim zachwytem i zapałem, że mimowoli przystanęłam rozbawiona i trochę zmieszana.

— Czyż to konieczne? — zapytałam pół żartobliwie, pół nieśmiało. — Może okaże pan niezadowolenie, gdy... nadziemskie zjawisko" ustąpi miejsca zwykłej śmiertelnicy?...

— Jakże pani może coś podobnego przypuszczać. Ja miałbym okazać niezadowolenie z poznania pani?... O, bo może pani nie wie...

Ogarnął mnie spojrzeniem, pod którem zrobiło mi się dziwnie gorąco. Zmieszałam się bardzo i poczerwieniałam. Usiłowałam gniewać się na natręta i położyć kres naszemu dziwnemu spotkaniu. Lecz kiedy spojrzałam na niego, napotkałam utkwione we mnie jego oczy z niemą, tak pokorną prośbą, że zamiast rozgniewać się, roześmiałam się głośno, aczkolwiek nieśmiało jeszcze.

— Pani mi nie wierzy? — zapytał niepewnym i jakby drżącym głosem. — Jakiej żądasz, pani, przysięgi, aby przekonać się, że... że...

— Pani mi wybaczy, ale... nie rozumiem pana — przerwałam mu chłodno i starając się pod maską obojętności ukryć zmieszanie, zdecydowanym krokiem oddaliłam się w stronę willi.

Wstąpiwszy na taras, odwróciłam się jednak i ujrzałam, że nieznajomy młodzieniec stał wsparty o ścianę altany, spoglądając w moim kierunku.

Żal mi się go zrobiło. Spodziewając się jednak, że raz jeszcze będzie usiłował zbliżyć się do mnie... postanowiłam w przyszłości okazać mu więcej serca...

— Kto to być może, że tak bezceremonjalnie przesiaduje w naszym ogrodzie? — myślałam tymczasem, idąc korytarzem. — Czy tylko moje postępowanie go nie obraziło?...

Ze zdziwieniem przekonałem się, że na samą tę myśl serce moje mimowoli poczęło żywiej uderzać. Byłam zła na samą siebie, a więcej jeszcze zdziwiona.

— Cóż mnie może obchodzić jakiś tam przybłęda — wmawiałam w siebie, a mimo tego postanowiłam dowiedzieć się od ojca, kto on i skąd wziął się w naszym ogrodzie.

Ojca zastałam pochylonego nad stolikiem: przeglądał gazety.

— Któż to jest ojczulku, ten młody człowiek, który spaceruje sobie po naszym ogrodzie, jak u siebie w domu? — zapytałam, usiłując głosowi swemu nadać brzmienie jak najbardziej obojętne.

Ojciec uniósł głowę z nad gazety i popatrzył na mnie z pod okularów, a ja mimowoli zapłoniłam się jak winowajczyni.

— Jaki znowu młody człowiek?...

— To ojciec nie wie?... Ten wysmukły szatyn, który za miejsce swoich dumań wybrał sobie naszą altanę...

— Acha! O co właściwie chodzi?

— Ależ ojczulku! Pytam się kto on jest?

— Zaraz... zaraz... Najprzód jedno pytanie: Czy mogę wiedzieć, co powoduje moją córeczkę, że tak bardzo zainteresowała się tym nieznajomym?

— Ciekawość tylko. Ale... dlaczego ojciec tak dziwnie patrzy na mnie! — zawołałam, widząc utkwiony w siebie badawczy i, jak mi się zdawało, śmiejący się wzrok ojca.

Zamiast odpowiedzi, ojciec roześmiał się zagadkowo, a ja nie mogąc ukryć zmieszania, udałam obrażoną i wybiegłam z pokoju.

Za mną leciał żartobliwy głos ojca:

— To niebezpieczny donżuan, a tak młode panienki winne mieć się przed nim na baczności, a przedewszystkiem być mniej ciekawe.

Zawstydzona, że ojciec odgadł moje myśli, uciekłam do swej sypialni. Podeszłam do okna i spojrzałam w ogród — nieznajomego młodzieńca już tam nie było. Westchnęłam zawiedziona.

Nie wiem dlaczego, ale wtedy rzuciłam się na krzesło i ukrywszy twarz w dłonie, zaniosłam się cichym płaczem. W tej chwili czułam się strasznie osamotniona. Nie było przy mnie matki, któraby nie poskąpiła pieszczot, coprawda dorosłej już, córce i wsparła dobrą radą...

Kiedy się uspokoiłam, oznajmiono mi, że kawa już na stole. Nie chcąc niecierpliwić ojca długiem wyczekiwaniem, pobiegłam do jadalni.

— Przebacz ojczulku — zawołałam już od proga. — Byłam bardzo niegrzeczną, każąc ci...

Nie dokończyłam, gdyż nagle spostrzegłam, że ojciec nie był sam w jadalni. Przy nim siedział...

— Nieznajomy z ogrodu? — wtrąciła Irena z coraz większem zainteresowaniem przysłuchując się opowiadaniu kuzynki.

— Tak. On we własnej osobie. Ujrzawszy mnie, zerwał się od stołu. Na jego twarzy malowało się zmieszanie, a więcej zdziwienie.

Ojciec popatrzył na nas uważnie i marszcząc nieco brwi, zwrócił się do nieznajomego młodzieńca:

— Pozwoli pan, że przedstawię mu moją córeczkę...

— To... to pana córeczka?!

— Oczywiście. Nie wiedział pan, że mam taką dorosłą córeczkę?... Podejdź bliżej Janeczko — zwrócił się do mnie. — Zapoznam was... Pan Zdzisław Doniecki z Poznania...

Młodzieniec bąknął kilka grzecznych słówek przy powitaniu. Był jakby onieśmielony naszem spotkaniem, teraz w zupełnie innych okolicznościach.

Zasiedliśmy do stołu. Teraz dopiero mogłam uważniej przyjrzeć się młodemu człowiekowi. Przedstawiał się korzystnie. Był dobrego wzrostu, miał ciemno - blond czupryne, interesującą twarz, a nadewszystko zachwyciły mnie jego duże, piwne oczy, ocienione rzęsami. Ubiór i wogóle całe jego zachowanie świadczyło, że jest to człowiek z towarzystwa.

Wnet spostrzegłam, że i młodzieniec ukradkiem obserwuje mnie w taki sam sposób. W pewnym momencie nasze spojrzenia się zbiegły, a wtedy, zmieszany opuścił oczy.

— I to ma być ten „niebezpieczny donżuan"? myślałam, uśmiechając się w duchu na takie porównanie.

Ojciec wyjaśnił mi, że pan Doniecki spędza w naszej wiosce - letnisku swoje wakacje i, że nie mogąc znaleźć we wsi odpowiedniej stancji, zamieszkał w willi „Aurorze".

Wieczorem, tego dnia jeszcze, spotkałam go na korytarzu. Stał przy otwartym oknie, zapatrzony w dal nieruchomym wzrokiem. Od strony wioski dochodziły wesołe tony skocznej melodii, oraz głośne śmiechy rozbawionej młodzieży.

Kiedy usłyszał moje kroki, drgnął nieznacznie i szybko odwrócił głowę. Oczy jego ogarnęły mnie długiem wejrzeniem. Od pierwszego spojrzenia domyślałam się, że pragnie ze mną mówić, a tylko krępuje się czemś. Obawiał się zapewne, że gniewam się na niego z powodu epizodu w ogrodzie.

Chcąc pokazać, że nie przykładam żadnej wagi do jego słów, wypowiedzianych w czasie nagłego spotkania w altanie, a także chcąc go ośmielić więcej, zagadnęłam go pierwsza.

— O, co ja widzę! Pan nie poszedł się bawić? — zapytałam, ruchem głowy wskazując w stronę, skąd dochodziły teraz miękkie tony walczyka.

Twarz mu pojaśniała.

— Dziś jakoś nie mam ochoty do zabawy — odparł. — Zresztą nie mam tu żadnych znajomości...

— Tak?... A ja sądziłam, że jest przeciwnie. Zauważyłam bowiem, że pan jest bardzo pohopny do zawierania znajomości.

Zmieszał się nieco. Zrozumiał aluzję.

— Pani gniewa się na mnie? — zapytał przystępując do mnie. — Ja nie chciałem... ja naprawdę nie miałem zamiaru obrazić pani. A jeśli panią obraziłem, to mimowoli i... proszę o przebaczenie. Zjawiła się pani tak nagle, że myślałem... i nie wiedziałem, że pani jest panną Krańską...

— Czyż z tego powodu pan jest niekontentny z owego spotkania? — spytałam, mrużąc figlarnie oczy.

— Ja miałbym być niekontent z spotkania pani? O, chyba pani mnie nie zrozumiała! — zawołał, patrząc przy tem na mnie takim wzrokiem, że zmieszałam się nieco.

— No, widzi pan, że nie gniewam się wcale — rzekłam, chcąc zakończyć rozmowę — Na dowód tego zaproponuję coś panu...

— Przyjmuję wszystko, co pochodzi od pani.

— Niech pan nie przyrzeka tak skwapliwie — roześmiałam się — bo potem gotów pan cofnąć słowo.

— Nie pani. Ja słowa nigdy nie cofam. Słowo zawsze pozostaje słowem. Powiedziałem, więc propozycję pani przyjąć muszę, chociaż nie znam jej jeszcze. Czy to jest coś tak bardzo trudnego?

— Wspólna wycieczka.

— Wycieczka?...

— Tak. Zapraszam pana na wycieczkę, jaką mamy zamiar jutro z ojczulkiem przedsięwziąć.

— O, proszę pani, z największą przyjemnością.

Spojrzeliśmy sobie w oczy, w których zabłysły ogniki, nieświadomego jeszcze wtenczas, porozumienia.

Kiedy wróciłam do salonu, ojciec spojrzał na mnie uważnie i zapytał nagle:

— I cóż Janeczko? Co myślisz o naszym młodym letniku — panu Donieckim?

— Jest bardzo przystojny i oryginalny — odparłam, odwracając głowę, gdyż inaczej ojciec zauważyłby lekki rumieniec, jaki przy tych słowach oblał moje lica.

— Przystojny? Być może; ale zgodzę się z tobą, że jest w istocie niepospolity.

Tej nocy długo nie mogłam zasnąć. Leżąc z przymkniętemi oczyma, oddałam się słodkim marzeniom. Myśli moje krążyły uporczywie dokoła postaci młodego człowieka. Przed sobą wciąż widziałam piękne piwne oczy, takie wyraziste, że chwilami zdawało mi się, że rzeczywiście ktoś stoi obok mego łoża.

I rzecz dziwna! Im dłużej myślałam o nim, tembardziej mi znajomym zdawał się być i jakby milszym. Poczęłam zastanawiać się nad tem, dlaczego on właśnie zrobił na mnie tak dziwne wrażenie... Czyżby był innym od wszystkich młodzieńców, z którymi stykałam się w życiu? Co w nim było odmiennego?

Piękność?... Bezwątpienia był pięknym mężczyzną, ale widziałam już dużo mniej, czy więcej pięknych młodzieńców, a jednak żaden nie zrobił na mnie takiego wrażenia.

Więc co?

— Oczy! — wykrzyknęłam prawie.

I rzeczywiście. Jego piwne, śmiało przed siebie patrzące, oczy miały w sobie coś przyjaznego, coś szczerego. Patrzały na mnie jakoś inaczej. Nie było w nich śladu pożądania, a tylko wyrażały jakby niemy zachwyt, obok lekkiego zdumienia, kiedy spoczęły na mojej osobie. Oczy takie wypowiadały to, co myślał ich właściciel — a oczy nie kłamią nigdy!

Miałam wtedy prawie już dziewiętnaście lat, ale tak mało jeszcze znałam mężczyzn! Rozumiałam jednakże to, że nie powinnam tak bardzo darzyć przyjaźnią młodego, nieznajomego mi zupełnie człowieka. Zasnęłam z tem postanowieniem...

Janka umilkła i westchnąwszy cichutko, spojrzała na przytuloną do siebie kuzynkę. Irena była dziwnie skupiona. jakoby wsłuchana jeszcze w echo codopiero usłyszanych szczegółów. Janka uśmiechnęła się tęskno i po chwilce ciągnęła dalej:

— Dnia następnego po południu wybraliśmy się na zapowiedzianą wycieczkę. Pogoda była wprost wymarzona, ptactwo śpiewało weselej niż zwykle. Najprzód szliśmy nad jeziorem, potem wchłonęły nas zielenią pachnące lasy.

Pan Doniecki z ojcem prowadzili ożywioną rozmowę o sytuacji politycznej kraju, ja zaś, idąc między nimi, przysłuchiwałam się w milczeniu rozmowie, a raczej z pod oka obserwowałam młodego człowieka. Pragnęłam wynaleźć w nim jakąś wadę, ale usiłowania moje były daremne. Uprzedzająco grzeczny i swobodny, nie ustępował jednak, gdy słuszność była po jego stronie.

Ojciec, zdaje się umyślnie, zaprzeczał jego wywodom i starał się narzucić mu swoje poglądy, ale młody człowiek bardzo delikatnie, lecz stanowczo dał ojcu do zrozumienia, że nie zmieni swoich przekonań, choćby z tego powodu natychmiast musiał opuszczać willę „Aurorę".

Nie zawahał się wypowiedzieć swego zdania, choćby ono było przeciwne zdaniu człowieka, którego przyjaźń zaskarbić sobie usiłował. Widocznie brzydził się fałszem i pochlebstwami!

Ojciec umiał ocenić tę zaletę jego charakteru, bo za całą odpowiedź uśmiechnął się tylko i przyjaźnie uścisnął mu rękę.

Ale wnet rozmowa przeszła na temat weselszy, a dla mnie więcej interesujący. W wypadkach, gdy zdania się różniły, młodzieniec nachylał się i patrząc mi w oczy, prosił mnie, abym ja rozstrzygnęła który z nich ma słuszność. Ja zaś — rzecz dziwna — mimo ironicznych uśmieszków ojca, zawsze brałam jego stronę, za co dziękował mi wymownemi spojrzeniami.

W taki sposób przebyliśmy parę kilometrów.

Po krótkim wypoczynku ruszyliśmy w powrotną drogę. Słońce zachodziło już, gdy wróciliśmy nad jezioro, skąd już tylko parę set metrów dzieliło nas od willi „Aurory". Tu też napotkaliśmy jednego z miejscowych gospodarzy. Ojciec przystanął, aby omówić z nim jakąś ważną sprawę, a my, we dwoje tylko, ruszyliśmy dalej.

Młodzieniec postępował w milczeniu lekkuchno wspierając się o mnie, potem, po chwilce wahania, ujął mnie pod ramię, mówiąc troskliwie:

— Niech pani wesprze się na mem ramieniu, będzie pani troszeczkę lżej. Zmęczyła się pani, prawda? Taki kawał drogi to rzeczywiście za wielki trud dla pani maleńkich nóżek...

— O, dość wcześnie pan sobie o tem przypomniał — rzekłam z lekką ironią w głosie, ale posłusznie wsparłam się na jego ramieniu.

Zmieszał się trochę.

— Ma pani słuszność — odparł cicho. — W zupełności zasłużyłem na taką naganę.

— Ależ panie Zdzisławie! — bezwiednie nazwałam go po imieniu. — Ja nie...

— Więc pan nie gniewa się na mnie?

— Cóż znowu! Skąd panu do głowy przyszły takie myśli...

— Pełne rezerwy zachowanie się pani nasuwa mi przypuszczenie, że pani może mieć do mnie żal za wczorajsze zbyt może śmiałe słowa. A ja nie mógł bym wyjechać stąd spokojnie, gdyby tak było rzeczywiście. A wyjechać muszę już wkrótce. Moje wakacje się kończą i za trzy dni opuszczam willę, gdzie tak przyjemnie spędziłem aż prawie dwa miesiące...

— To pan wyjeżdża już do Poznania?

— Tak, niestety. Muszę wyjechać właśnie w chwili, gdy pragnąłbym pozostać tu... obok pani, aby móc choć w milczeniu przeglądać się w jasnych, śmiejących się oczętach — dokończył szeptem prawie.

Roześmiałam się.

— O, panie Zdzisławie! Pan też umie mówić komplementy?

— Nie pani. To nie bezduszne, mające jakiś ukryty cel, komplementy, a tylko przez moje usta przemawia... serce.

— Mówi pan poważnie, czy też żartuje pan tylko?

— Panno Janeczko, mówię zupełnie poważnie. Strasznie tęskno mi będzie za pani miłem towarzystwem, choć tak bardzo mało danem mi było przebywać w towarzystwie pani... Tutaj, na wsi, jest tak wesoło... przyjemnie, gdy w Poznaniu, oprócz zamężnej siostry, nie mam nikogo bliskiego...

— Jakto! Pan nie ma już rodziców?

— Nie, pani. Ojciec mój poległ w wojnie polsko - bolszewickiej, a trzy lata już minęły od śmierci mojej matki.

— Ja też nie mam już mamy — rzekłam, bezwiednie, przytulając się do jego ramienia. — Jestem, prawie tak, jak pan, sierotą...

— O, pani ma jeszcze kochającego ją, ojca

— Prawda. Ojciec kocha mnie bardzo i nie pozwoli mi zbytnio odczuć braku matczynego serca. Ale panie Zdzisławie. Nie trzeba zaraz smucić się z tego powodu. Jest pan przecież dorosłym mężczyzną!

— Oczywiście — zaśmiał się i spojrzawszy mi w oczy, zapytał cicho: — Panno Janeczko, gdy mnie tu już nie będzie, czy zachowa pani dla mnie choć odrobinę przyjaźni? Pozwoli mi pani korespondować z sobą?

Byłam zakłopotana temi pytaniami. Nie chciałam dać mu wyraźnie odmownej odpowiedzi, ani też, spowodowana ostrożnością, twierdzącej.

— Panie Zdzisławie — rzekłam wesoło. — Pan chyba zapomniał, że za cztery tygodnie wyjeżdżam znowu do Krakowa.

— Rzeczywiście, zapomniałem o tem. Ale w takim razie poproszę panią o adres pensjonatu w Krakowie.

— Owszem, mogę dać panu adres, ale zaznaczyć muszę, że na pensji mamy wzbronione utrzymywać jakąkolwiek łączność z męską połową rodzaju ludzkiego. Siostra przełożona osobiście przegląda nasze listy i gdy...

Potrząsnął niedowierzająco głową.

— Pan jeszcze nie rozumie? — zawołałam z naganą w głosie. — Mam już wprawdzie lat dziewiętnaście, ale wszystkie bez wyjątku musimy zastosować się do regulaminu, panującego na pensji. Siostra przełożona utrzymuje, że ma pod tym względem od matek specjalne instrukcje, aby czuwała nad moralnością wszystkich panienek... Ale wie pan co? — dodałam, mrużąc filuternie oczy. — Pańską „przyjaźń" wystawię na małą próbę. Teraz nie możemy z sobą korespondować — dobrze więc. Będziemy zatem milczeć, nic nie wiedząc o sobie. Za rok jednak, kiedy już ukończę pensję i powrócę do domu, to wtedy dopiero pan napisze do mnie obszerny list, donosząc w nim, że przyjaźń pana dla mnie nie była sezonowa, ale pozostała nadal tak samo serdeczna... No, zgadza się pan, panie Zdzisławie?

Myślałam, że roześmieje się, ale twarz jego pozostała poważna. Popatrzył na mnie, potem ujął moją rękę i ucałował gorąco.

— Dobrze — rzekł po namyśle. — Za rok przyjadę tu, aby z ust pani usłyszeć potwierdzenie tego, że i w serduszku pani pozostało odrobinę miejsca na... przyjaźń dla mnie.

Był u nas rzeczywiście jeszcze tylko trzy dni, w których miałam sposobność poznać nieco jego charakter.

Po jego odjeździe smutek zapanował w naszej willi. Ojciec chodził trochę osowiały, a ja, mimo udawanej wesołości, czułam się strasznie osamotniona. Mijały dnie, a ja wciąż myślałam o nim, a za każdorazowym wypowiedzeniem przez ojca jego nazwiska, serce moje prędzej poczynało uderzać. Teraz dopiero spostrzegłam, że tak przystojny i elegancki młodzieniec, okazujący mi szczerą sympatię, nie przeszedł bez śladu... Nietylko zyskał moją przyjaźń, ale dopiero po jego wyjeździe zrozumiałam, że wzbudził we mnie dziwne uczucie, którego dotąd nie znałam.

Myślałam, że choć raz napisze do mnie, ale nie odezwał się ani słowem.

— Niewdzięcznik! — powtarzałam rozżalona. — Wodził za mną rozmiłowanemi oczyma, a teraz nie da o sobie znaku życia. Widocznie nie darzy mnie tak gorąco przyjaźnią, bo, mimo obietnicy milczenia, napisałbym choć parę słów...

I kiedy przypominałam sobie, że to ja tylko ponoszę winę za taki stan rzeczy, brał mnie gniew na samą siebie, że zaciskałam ręce, aby nie rozpłakać się z swej bezsilności.

Gdy wieczorami pozostawałam sama w swej sypialni, jego wysmukła męska postać zawsze stawała mi przed oczyma. Wtedy jakaś namiętna tęsknota ogarniała całą moją istotę...

Wreszcie nadszedł czas wyjazdu na pensję. Wśród wesołych koleżanek rok minął szybko. Już myślałam, że o pięknym chłopcu pozostało tylko niewyraźne wspomnienie, ale wnet przekonałam się, że jest inaczej. Bowiem kiedy dzisiaj powracałam do domu na widok naszej willi, sercem mojem wstrząsnęły dziwne uczucia. C. d. n.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

„MINIE ŻAŁOŚĆ I TĘSKNOTA"...

„Zapomniana Sylena". List Twój, „Syleno" jest nieco podobny do listu „Eli", młodej, bardzo biednej i nieszczęśliwej dziewczynki, której dawałam odpowiedź w ostatnim num. „Moich Powieści". Podobieństwo listów jest jednak antytezą przekonań i charakterów obydwóch Pań. „Eli" skarży mi się w liście na swoją dolę, ale uśmiecha się dzielnie przez łzy i woła z brawurą: „choć ciężko mi żyć, ale nie boję się życia, biorę się z nim za bary" i szepce sobie cichutko, gdy już jest bardzo źle: „minie żałość i tęsknota, niechaj zima mnie smuci, wróci pora szczęścia złota... Tak podchodzi do życia „Eli", podczas, gdy Ty, „Syleno", zupełnie inaczej, skarżysz się i narzekasz na brak zrozumienia i współczucia u drugich, załamujesz ręce. Uśmiechnij się lepiej, „Syleno" i pomyśl tak, jak myśli „Eli". Wierz mi — zło zawsze mija — prędzej czy później, nie trzeba tylko tracić nadziei w lepsze jutro.

Pragnę Ci dopomóc, moja Dobra Dziewczynko, dlatego, proszę, nadeślij mi treść ogłoszenia, o którem wspominasz w liście. Zamieszczę je w „Mojej Przyjaciółce" i pewna jestem, że z dobrym skutkiem.

Szkoła Pielęgniarska istnieje w Warszawie przy ulicy Koszykowej 78 i w Poznaniu przy ulicy Grottgera 5.

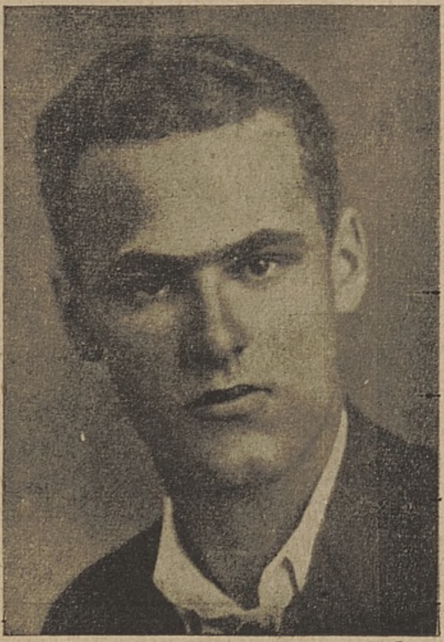
Sądzę jednak, że w położeniu Twojem będzie aktualniejsza posada, aniżeli nauka, dlatego radzę Ci, „Syleno", dołożyć wszelkich starań, aby uzyskać to pierwsze. Gdy zdobędziesz jakąś płatną posadę, uzyskasz równocześnie i dawną równowagę i pogodę ducha, zobaczysz. Żegnaj więc i nie zwlekając, napisz do mnie.

Na zakończenie zostawiłam kilka Twoich słów, „Syleno", skierowanych do Sympatyków, oto one:

„Pozdrawiam serdecznie „Marzyciela z pod Gniezna" oraz zapytuję go, czy otrzymał ode mnie list? Jeżeli tak, dlaczego milczy?

Poza tym jeszcze raz proszę „Bursztynowe Serduszko o liścik oraz przesyłam wymienionej Sympatyczce serdeczne pozdrowienia.

Pan K. L. z Łodzi otrzyma odpowiedź później, narazie — miłe pa!



„Gladiator" z poza krzaczastych brwi patrzy nieco chmurnie, ale odważnie na świat.

Pozdrawiam również „Smutną Oleńkę" „Konwalję" i „Marona", którym zainteresowałam się ogromnie.

NAWIĄZANIE KORESPONDENCJI

„Duśka". Szepcesz mi, Dziewczynko, tysiące pięknych, dobrych słów i pod ich wpływem stajesz mi się coraz bliższą i droższą.

Przed chwilą skończyłam czytać Twoje ostatnio nadesłane listy i do tej pory nie mogę wyzbyć się tych wszystkich pięknych wzruszeń, jakich doznawałam przy odczytywaniu Twoich arkusików.

Twoja poetyczność i refleksyjność udzieliła się i mnie, bo i ja chciałabym Ci mówić „Dusiu", o uroku jesieni, o doznawanych wrażeniach, o dobrych przymiotach ludzi, ale muszę mieć to na względzie, że w ramach „Krainy" powinno się zmieścić jeszcze dużo liścików. Dziękuję Ci więc tylko, Kochanie, za to, że powierzasz mi wszystkie swoje myśli i tak szlachetnie pojmujesz naszą przyjaźń.

Na zakończenie jeszcze kilka Twoich słów, „Dusiu".

„Nie mogę odłożyć pióra, aby nie pozdrowić wpierw moich szczerych „siostrzyczek" z „Krainy". A więc „M. Rysiu", dziękuję Ci za dobre chęci wypożyczenia mi książki, ale dostałam ją już od „Irka" — „Słodką Gildę" mocno ściskam. „Istę Wenus" — „Terenię z Szlacheckiego Dworku" — również. „Ryśce D." ściskam łapięta. „Elżuniu z Torunia" często jestem w Twoim mieście i znam kogoś, który jest Tobą zachwycony.

„Czarny Olku"! Chciałabym Ci przesłać duprzyjaznych słów i wlać w Twoje serce dużo pogody i słońca, ale napisz do mnie pierwszy.

„Wirrycie"! Czy bardzo jesteś samotny? Ja również. Zaintrygował mnie twój wzrost. Chciałabym otrzymać od Ciebie list".

JESTEŚ SAM...

„Wirrytowi" — poświęcam.

Gdzieś — tam, w gwarze miasta,
Zgubiony wśród tłumu,
Wśród wiecznie ruchliwej fali
Jesteś sam
I zwierzyć się nie masz komu.
To co, że wokół tyle twarzy
Wesołych — smutnych — zatroskanych,
Że tyle spojrzeń wkoło ciebie
I słów wylanych —
Ty zawsze jesteś sam,
Choć miasto tętnem życia bije
I chociaż obok ciebie,
Tysiące istot żyje.
Może, gdzieś w starym parku
Drzewo ci smutnie zaszumi,
A wietrzyk delikatnie
Muśnie cię po twarzy
I może tą pieszczotą
Żal w twej duszy stłumi,
Żal, za szeroką przestrzenią
Za wodą i lasu zielenią.
Jesteś sam
Zaduma na czole twym się kładzie,
A myśli jakoś dziwnie się plączą —
To giną — to powracają w nieładzie
I jedno wiesz — rozumiesz,
W tej cichej zadumie,
Że jesteś sam —
Sam, w wielkim ludzkim tłumie.

„Dzinka".

PRZYZNAJĘ RACJĘ...

„Przedwiośnie". Maleńka moja! dziękuję Ci bardzo za miłe zakończenie listu. Nastroiło mnie ono bardzo miło, może dlatego, że jest w nim mowa o słońcu.

Co do ukrywania cierpień przed drugimi, przyznaję Ci rację, Kochanie. Nie każdemu można otworzyć serce naoścież, lepiej czynić to powściągliwiej i zawsze z świadomością, że osoba, której zwierzamy się, zrozumie nas.

Tyle ,co do ostatniego listu, pozostaje mi więc tylko uściskać Cię serdecznie i oddać do przedruku Twój dopisek:

„Czy milutki „Kwiat z Hawai" otrzymał ode mnie list?

„Dziewczynko z Bydgoszczy"! Dlaczego milczysz, Kochanie?

„Biała Uajali"! Czy pozwolisz mi się ucałować za Twoje przemiłe wierszyki?

„An -- Ka"! wybacz, ale... korespondencja nie da nam zadowolenia. Serdecznie pozdrawiam przemiłego „Wirryta". Może mi prześlesz kilka słów, „Wirrycie"? „Smutna Sztubaczko", pragnę Ci przysłać kilka słów pocieszenia. Współczuję Ci bardzo, „Kochanie". „Jutrzenko", zainteresowałaś mnie".

MYŚLĘ O TOBIE, DZIEWCZYNKO, JAK NAJSERDECZNIEJ

„Telimena". Bardzo Miła Dziewczynko! Nietylko, że nie gniewam się na Ciebie, ale myślę o Tobie jak najserdeczniej. Skądże się wzięły w tak rozsądnej główce, jak Twoja, te „niedorzeczne" myśli?

W dzisiejszym numerze, w dziale „Raj kobiet", znajdziesz wzór na płócienną serwetę. Wzór ten jest dość prosty, tak, że wykonanie jego nie sprawi Ci wielkiej trudności.

Płyn do kędzierzawienia włosów podam w najbliższym numerze „Moich Powieści".

Ocenę nadesłanych rękopisów wyda Wujek Janusz.

A teraz pozdrawiam Cię, Kochanie, bardzo proszę o dalszą pamięć i pozdrawiam jeszcze w Twojem imieniu „Szumiącą Jodłę".

W POSZUKIWANIU ŻYCZLIWEJ DUSZY

„Charitas". Moja Droga Dziewczynko! Nie masz mi za co być wdzięczną, to raczej ja powinnam być Ci wdzięczną, że darzysz mnie taką wielką sympatją i zaufaniem. Do „Krainy" przyjmuję Cię chętnie i zamieszczam niżej część Twego listu. Czynię to w tym celu, abyśmy Cię wszyscy poznali i nawiązali z Tobą ściślejszy kontakt.

„Jestem młodziutką szatynką o dużych, ciemnych oczach i trochę melancholijnem usposobieniu. Kocham śpiew, muzykę i taniec. Nieraz ogarnia mnie jakaś nieokreślona tęsknota. W chwilach takich myślę o kimś bliskim, oddanym mi sercem i duszą. Może znajdę kogoś takiego życzliwego w „Krainie"?

Bardzo serdeczne pozdrowienia przesyłam: „Białej Uajali", „Małej Konwalijce", „Błękitnemu Rycerzowi" i „Lawrence".

APEL Z NAD BAŁTYKU

„Smutna Hanka". „Jestem młodą blondynką o błękitnych oczach. Mówią, że jestem miłą i przystojną. Lubię marzyć. Mieszkam w portowem mieście. Jeżeli chodzi o względy materialne, mam wszystkiego poddostatkiem, brak mi tylko kogoś bliskiego i drogiego. Czy w „Krainie" znajdzie się Miła mnie ktoś taki? Może „Mary" lub „Ryś" pofatygują się i skreślą do mnie kilka słów? Przesyłam moc pozdrowień wszystkim Sympatykom i Sympatyczkom „Krainy".

KORESPONDENCJA

„Czarna Jótka z nad Wisły" pragnie korespondować z jakimś miłym chłopcem, a najchętniej z „Czarnym Olkiem". Czy zgoda, „Czarny Olku"? Myślę, że tak, bo przecież życzeniom miłych pań nigdy się nie odmawia, ale zawsze czyni im się zadość.

JESZCZE RAZ „PRZEDWIOŚNIE"...

„Przedwiośnie" bawi obecnie w Warszawie i przesyła nam stamtąd serdeczne pozdrowienia. Osobne — „Białej Uajali", „Kuszącej Różyczce", „Kwiatowi z Hawai" i „Cicerowi"!

Dziękujemy Pani! Życzymy wesołej zabawy i zdobycia jak najwięcej wrażeń!



Przemiłe Czytelniczki „Moich Powieści" z Studzieńca, przesyłają Sympatykom „Krainy" uśmiechy i pozdrowienia.

PROŚBA

„Elka". Za kilka dobrych, ciepłych słów — dziękuję Pani serdecznie i zaraz na wstępie zaliczam Panią w poczet członków naszej wielkiej „Rodziny". Poza tym proszę Panią o nawiązanie z nami ściślejszego kontaktu i darzenie nas swoją sympatią. Odpłacimy się za to w dwójnasób.

Na zakończenie pozdrawiam Panią, a na uszko zdradzam, że strony, w których Pani zamieszkuje, znam doskonale.

DZIĘKUJĘ

„Narcyz". Dziękują Panu jak najserdeczniej za pozdrowienia z Olsztyna. Odwzajemniam je uściskiem dłoni.

WIADOMOŚĆ UCIESZYŁA MNIE

„Brunet". Miła wiadomość, zamieszczona w ostatnim liście Pana, ucieszyła mnie ogromnie. Czekam z niecierpliwością...

POZDROWIENIA

„Krater II" przesyła miłe pozdrowienia „Wesołej Mariecie", „Marucie", „Rozie Wenedzie" i „Jadźce z Kujaw".

WYSŁAŁAM

„Janka". List wysłałam. Za nadesłane pozdrowienia dziękuję Pani w imieniu redakcji i swojem.

LIST WYSŁAŁAM

„Alwira". List skierowałam pod odpowiedni adres. Za pozdrowienia dziękuję i ślę Pani moc serdeczności.

LIST DO SYMPATYKÓW „KRAINY"

„Zaczarowana Cyganeczka" przesyła Sympatykom „Krainy" kilka następujących słów:

„Wszystkim tym, którzy pamiętali o mnie i przesłali mi pozdrowienia — ślę serdeczne podziękowania i uściski dłoni. Osobne pozdrowienia załączam dla PP. Żywieckich i milutkiej Krysi z Mełna, (Zgadnijcie kto ja jestem!) Jadzi Kosnowskiej z Gołębiewka, Halinie Paczkowskiej z Grudziądza, (mylisz się, Halinko. nie zapomnę nigdy!) Walerci Domachowskiej z Bydgoszczy, (Walerciu, czy mnie jeszcze pamiętasz? Pozdrów ode mnie Wesołą Trójkę!), mojemu kuzynowi M. Wieczorkowi z Kowalewa oraz mojej imienniczce Feli Błaszak z Sandomierza, (Felu, czy przypominasz sobie Radzyń 1934 r?).

„Dzikusko z Abisynji" i „Czytelniczko z pod Grudziądza"! Cieszę się, że nie zapomniałyście o mnie. Za pozdrowienia — dziękuję!

„Piękna Cyganeczko"! — nie martw się! Zobaczysz, zło minie i uśmiechnie się znowu do Ciebie szczęście.

„Dzika Cyganko" i „Czarnulko z Grudziądza"! — napiszcie do mnie.

O liściki proszę również: „Szarunię", „Igiełkę" — „Nieszczęśliwą" — „Rysię — „Tuberozę" — „Dusię" — „Gałązkę Świerku" i „Powój".

Pana F. J. z pod Inowrocławia zapytuję się, czy już zapomniał? Posyłam Mu podziękowania, słowa pociechy i moc pozdrowień.

Całej „Rodzince" przesyłam śliczne pa!"

ODPOWIEDŹ NA BARDZO SERDECZNY LIST

„Dzikuska". Chociaż w liście Pani nie było pięknych słów i poetycznych wzlotów, to jednak oczarował mnie on ogromnie. A teraz dlaczego? Bo podeszła Pani do mnie pełna prostoty i powiedziała mi tak serdecznie:

„Nie znam Pani, ale kocham już Panią. Nie będę się siliła na to, aby opisać to, co czuję do Pani, bo nie posiadam poetycznej duszy i na papierze moje słowa wypadłyby może blado... niech wystarczy, że kocham Panią".

Oczywiście, że to mi wystarcza najzupełniej! Poprzez olbrzymią przestrzeń świata, wyciągam do Pani ręce, jak do siostry i dziękuję gorąco za dobre serce i za tę wielką przyjaźń, którą w pełni pragnę odwzajemnić. Kończę na dzisiaj i oczekuję z utęsknieniem od Pani, „Dzikusko", następnego listu.

PRZYSZŁO SZCZĘŚCIE...

„Czarnulka ze Świecia". Po dniach oczekiwań i tęsknoty przyszło nareszcie szczęście. Przyszło i zaświeciło jak najpromienniej. Ale... boisz się, Dziewczynko, że tak samo jak niespodziewanie przyszło, tak i odejdzie. Obawa niepotrzebna, ale zupełnie uzasadniona. To, co drogie naszemu sercu, co ukochamy — strzeżemy zawsze pilnie i lękamy się, aby nie odeszło. I im więcej kochamy, tem większy nasz lęk...

Żegnaj, „Czarnulko" i... wierz w swoje szczęście... Pisz jak najczęściej i pogodnie, jak zwykle.

(„Czarnulka ze Świecia" przesyła kilka słów dla „Zawiedzionego".)

„Przesyłam Panu moc serdecznych pozdrowień ze Świecia i donoszę, że narazie przerywam korespondencję na jakiś czas, gdyż wyjeżdżam. O ile Pan zechce, proszę, niech Pan napisze do mnie w połowie października, gdyż wtedy będę już spowrotem. Mocno ściskam Panu ręce".

NIE ŻAŁUJ...

„Kochanie". Reakcja, jaka nastąpiła u Ciebie, Dziewczynko, jest zupełnie normalną. Nietylko Ty, ale większość ludzi, bierze w życiu to, co jest lichem, taniem szkiełkiem za cenny klejnot. Prawda jednak zawsze musi wyjść na jaw, więc przychodzi chwila, w której otwierają nam się oczy na to, co było dotychczas złudą. Tak samo było z Tobą, Dziewczynko. Nie żałuj proszę, że tak się stało, a nie inaczej... lepiej, że teraz przejrzałaś, niż wtedy, gdy byłoby już zapóźno.

A teraz pozdrawiam w Twojem imieniu „Białą Uajali", „Beatrice" i „Ananke". Równocześnie ściskam Cię i całuję serdecznie.

Teczka Wujka Janusza

„BAJCE" W ODPOWIEDZI

„Bajka". Jest Pani głęboką myślicielką, ale nie tą surową, sucho filozofującą, jakich spotyka się wiele, ale myślicielką — kobietą, pełną serca i prostoty. Schylam przed Panią z szacunkiem głowę i cenię to wszystko, co Pani skreśliła w ostatnim liście. „Tak mało na świecie dobroci"... a jednak jest jej jeszcze tyle — wielkiej, prawdziwej dobroci...

Czy Pani, „Bajko", zechce napisać wkrótce do mnie znowu i wypowiedzieć się tak pięknie i rzeczowo, jak ostatnio? Proszę bardzo!

(List otwarty do Sympatyków, nadesłany przez „Bajkę" na moje ręce).

„Hallo! „Sportsmenko"! Wierszykiem sprawiłaś mi, Kochanie, dużo, dużo radości. Przyjm za niego jak najczulsze, siostrzane uściski.

„Basieńko"! Bardzo możliwe, że widziałyśmy się w ub. roku na zlocie w Spale. Jeżeli chciałabyś do mnie napisać, to nie zwlekaj — odpowiem Ci długim liścikiem. Pozdrawiam Cię bardzo miło!



Nietylko w listach, ale i w twarzyczce **„Dumki"** jest dużo dobroci i słodyczy.

„Nimfo II." Za pocztówkę ślę Ci śliczne pa! Całuję Cię i czekam na zapowiedziany list.

„Etjopko"! Nie gniewam się na Ciebie! Bądź cierpliwą — napiszę wkrótce — tymczasem pa!

„Miła Zapałeczko"! Przesyłam Ci moc całusów. Czemu tak uporczywie milczysz?

„Słodka Psyche" i „Boginko"! Cieszę się, że chcecie ze mną nawiązać kontakt. Napiszcie jednak pierwsze — nie zawiodę! Ściskam Was serdecznie moje Milusieńkie.

„Tajemniczej Brunetce", „Smutnej Oleńce" i „Człowiekowi z ludu" — bardzo dziękuję za pozdrowienia, które w pełni odwzajemniam. Łączę również pozdrowienia dla „Agentki pocztowej" — „Mileny" — „Małej Konwalijki", (zdaję się, „Konwalijko", że mieszkamy blisko siebie?), „Orlicza", „Erosa" i „Mariana". riana".

Na zakończenie przesyłam ucałowania Kochanej Marychnie W. z M. i Jej siostrzyczce Danuśce, oraz szczery uścisk dłoni „Waldemu". Panie „Waldy"! Czy życzenia moje zrealizowały się?"

WIADOMOŚCI DLA SYMPATYKÓW

„Biała Uajali". Wiersz „Dalie" posiada bardzo piękne akcenty, ale jest za mało gładki. Pocieszam się nadzieją, że następne wiersze będą już lepsze.

Dopisek Pani podaję do ogólnej wiadomości: „Hallo! „Wesoła Marietto"! Proszę o odrobinkę cierpliwości. Wierszyk, o który prosisz, napiszę, nie wiem tylko, czy Wujek Janusz obdarzy go swemi względami.

„Smutna Oleńko"! Cieszę się, Kochana Dziewczynko, że lubisz moje skromne wierszyki. Ślę Ci moc pozdrowień!

„Mała Konwalijko"! Czuję dziwną sympatję do Ciebie, może dlatego, że jesteś podobnie, jak ja, „wędrownym ptakiem". Czy mogę do Ciebie napisać? Ślę Ci uściski dłoni!

„Wa — La"! Kto Pani? Czy znamy się może? Chętnie napiszę do Ciebie, gdy czas mi na to pozwoli. Obecnie przebywam na Podlasiu. Moc pozdrowień!

„Ord — Omie"! Czekam na wiadomości od Pana. Dlaczego zabrakło w „Krainie" wierszyków Pana?

„Wilku Morski"! Jak Pan przyjął mój odzew? — czy otrzymam odpowiedź.

„Mileno"! Ślę uścisk dłoni i moc pozdrowień. To samo Zosieńce B. i p. Wikowi G. z O."

Raj kobiet

Ile kobiety wydają na stroje?

Pewien statystyk angielski zajął się oryginalnem obliczeniem, które kobiety wydają najwięcej pieniędzy na stroje. Okazało się, że najkosztowniejsze toalety noszą mieszkanki Ameryki Południowej, a więc piękności z Rio de Janeiro i Buenos Ayres trzymają pod tym względem prym wśród elegantek całego świata. Drugie miejsce w szeregu najrozrzutniejszych kobiet świata zajmują obywatelki Stanów Zjednoczonych, potem idą Angielki, a na czwartem dopiero miejscu znajdujemy Francuzki, które należą mimo to do najszykowniejszych kobiet świata.

Co się zaś tyczy najmniej rozrzutnych kobiet, to są niemi Niemki, które system „nazi" ogranicza w wydatkach na zbytki.

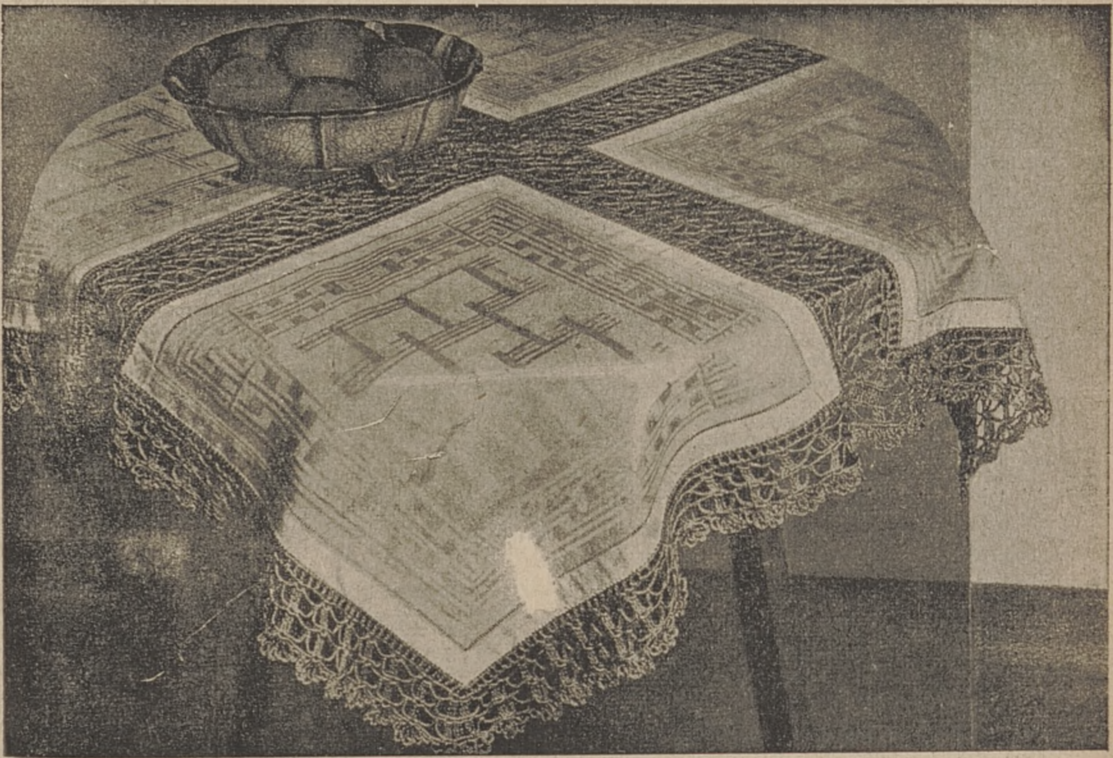
Dziwna choroba paznokci

Jeden z lekarzy niemieckich, dr. Wilhelm Magnus zademonstrował w jednej z klinik berlińskich chorego, który cierpiał na dziwną chorobę paznokci. Choremu paznokcie czerniały i opadały jak łuski.

Dr. Magnus twierdzi, że przyczyną tego dziwnego cierpienia są ostre i chroniczne niedomagania żołądkowe pacjenta.

O tym dziwnym objawie niedomagań żołądkowych pisze obecnie uczony niemiecki obszerną pracę, twierdząc, że w czasie wykonywania swojej praktyki lekarskiej natrafił już na kilka podobnych wypadków.

Serweta z szarego płótna



Prześliczna serweta z szarego płótna, łączona koronkowemi wstawkami.

Co oznaczają nasze imiona?

Prawie wszystkie imiona, których używamy bezmyślnie, coś oznaczają w językach starożytnych. Najstarsze imiona są pochodzenia hebrajskiego.

Oto garść imion i ich znaczenie:

Adam oznacza właściwie: wyrosły z ziemi
Ewa — Życie.
Anna (Hannah) — Niewinna.
Elżbieta (Elisabeth) — Wielbiąca Boga.
Jan (Johannes) — Błogosławiony.
Michał (Michael) — Kto dorówna Bogu?
Józef (Joseph) — Mnożący.
Marja (Miriam) — Gorzka.
Tomasz (Thomas) — Bliźnię.

Bardzo wiele imion jest pochodzenia greckiego.

Agata — Dobra.
Agnes — Cnotliwa.
Aleksander — Opiekun.
Andrzej (Andreas) — Mężny.
Krzysztof (Christoph) — Nosiciel Chrystusa.
Eugenjusz — Dobrze urodzony.
Jerzy (Georges) — Pracownik na roli, wieśniak.
Helena — Promienna.
Irena — Pokój.
Katarzyna (Kathare) — Czysta.
Mikołaj (Mikolaos) — Zwycięstwo ludu.
Piotr (Petros) — Skała.
Filip (Philos) — Przyjaciel, hippos — koń — Przyjaciel koni.
Zofja — Mądrość.
Stefan — Uwieńczony.
Teodora — Dar Boski.

Równie liczne są łacińskie imiona.

August — Wzniosły.
Feliks — Szczęśliwy.
Cecylja — Niewidoma.
Klara — Czysta.
Laura — Uwieńczona laurem.
Leon — Lew.
Maksymiljan — Największy.
Paweł (Paulus) — Mały.
Regina — Królowa.
Renata — Odrodzona.



W Londynie odbyła się ostatnio ciekawa wystawa fryzjerska. Na zdjęciu jedno z najoryginalniejszych stoisk.

Świat i życie

Na rwących falach gimnastycznego Jong-tse-Kiangu

Potężny Jong-tse-Kiang, największa rzeka Chin, niedawno jeszcze uważana za zupełnie niespławną, z powodu silnych prądów, tworzących niemal wodospady, roi się obecnie od leżących na kotwicy kanonierek francuskich, angielskich, amerykańskich, od małych statków handlowych, pod flagami wszystkich państw słowem, odbywa się stała żegluga na rzece aczkolwiek prądy jej są tak samo silne i niemal nieustanne.

Podróż rzeką Jong-tse-Kiang, należy do najbardziej malowniczych. Zaraz po wyjściu z Iczangu — jechaliśmy przez miejscowości pełne uroku. Strome brzegi nawet do znacznej wysokości mają uprawne pola. Mija się niekiedy prześlicznie położone wsie. W dolnej części rzeki widać tylko lepianki, albo domy z trzciny ze słomianemi dachami, ale w górnej części Jong-tse-Kiangu spotyka się solidne domy z cegły, z pięknemi śpiczastemi dachami.

Wszystkie drzwi posiadają wytworną dekorację w rodzaju malowanej kraty i balkony, z których otwie-

rają się wspaniałe widoki na górę i rzekę. Niekiedy spotyka się prześliczne pagody, dookoła których pasą się stada białych kóz.

Mijamy położone na lewym brzegu rzeki miasteczko Kniczu, na którego murach widnieją napisy komunistyczne i wrogie dla cudzoziemców.

Nieco dalej czekała nas trudna przeprawa — dostaliśmy się w prąd jetanu. Zdawało się, że nigdy się przezeń nie przedostaniemy, ponieważ okręt nasz musiał się cofać przed jego naporem. Doprawdy niezapomniany był to widok, — pośród ryczących i pieniących się fal statek walczący wysiłkiem całego motoru, zupełnie jak na morzu podczas burzy.

Znowu niebezpieczny wodospad Patung i statek nasz dostaje się do najwęższej czeluści skalnej rzeki.

Gigantyczny Jong-tse-Kiang szerokości trzydziestu kilometrów u swego ujścia, nieco wyżej sięgający 1500 do 2000 metrów szerokości, w tem miejscu szeroki najwyżej 50 metrów i zamknięty pomiędzy skalami zawrotnej wysokości. Jest tu jakoś dziko i strasznie. Wrażenie potęguje jeszcze wycie syreny, którego echo odbija się w skałach, budząc strach i grozę.

Wrażenia te europejczyk odczuwa jeszcze silniej wobec kontrastu z atmosferą gnuśności chińskiej, panującej na statku. We wszystkich kajutach leżeli podróżni chińscy przy fajce z opium, którego zapach rozniósł się wszędzie.

Po południu wjechaliśmy znowu na szerszą przestrzeń wód, sięgającą do trzystu metrów. Brzegi tutaj mniej strome. Wszędzie na wyższych szczytach skał wznoszą się klasztory buddyjskie, otoczone murami i basztami jak średniowieczne fortece.

W tej okolicy dżonki do przewozu pasażerów są dość liczne. Na przedniej części łodzi krzątą się załoga, środkowa część pokryta okrągłym dachem z bambusu, jest przeznaczona dla klientów. Za tą ochronną ścianą stoi sternik z długim wiosłem zamiast steru.

Wieczorem drugiego dnia podróży stanęliśmy w Whan-Hsien, gdzie spędziliśmy noc. Miasto jest prześliczne, położone na dwóch bratnich pagórkach połączonych mostem i tworzy oryginalny obraz chiński ze swemi pawilonami o zagiętych końcach i wieżycami pagód. Przedewszystkiem jednak oczy widza uderza szczegół związany z temi nadbrzeżnemi osiedlami na skałach — domy na polach z bambusu podobne do kurników, umieszczone wysoko, na wypadek powodzi, oraz schody szerokie jak ulice, które z nad rzeki prowadzą w górę miast.

Skrzydlaci ludzie

(Z galerii polskich aeronautów).

Niejednemu z nas znany jest zapewne przepiękny mit o Ikarze, genialne plany i rysunki Leonarda da Vinci z projektami aeroplanów; mało natomiast wiemy o rodzimych wyczynach w dziedzinie aeronautyki.

Pomijając legendarne wzloty na miotłach czarownic z Babiej Góry, warto wspomnieć postać niejakiego Imć pana Łukasza Piotrowskiego, szlachcica podlaskiego, który według relacyj F. M. Sobieszczańskiego w 1633 r. podczas przedstawienia w bursie Nowodworskiego w Krakowie z przedmieścia, naówczas Retoryką zwanego „na teatrum przez dach przeleciał i po odprawionej scenie spowrotem na swoje odleciał miejsce". O budowie natomiast aparatu, którym się ów słynny szlachcic posługiwał wszelkie wiadomości zaginęły.

Gdy pod koniec osiemnastego stulecia cała niemal Europa entuzjazmowała się wyczynami braci Montgolfierów w Polsce sprawę tę rozważano teoretycznie w małem dziełku, wydanem za czasów Stanisława Augusta w 1784 r. pod tytułem „Kuli Aerostatycznej różnych aż dotąd doświadczeń opis dostateczny. Kraków w drukarni bibliopolii Jego Królewskiej Mości".

Jest to istotnie dokładny opis doświadczeń braci Montgolfier'ów. Po wzlotach Blancharda i Montgolfier'ów zaczęto i w Polsce interesować się sztuką aeronautyczną. W 1786 r. chemik króla Stanisława Augusta niejaki Okraszewski odleciał z terenu Zamku Warszawskiego balonem z kitajki i opadł pod Okuniewem w okolicach Mińska Mazowieckiego. Antoni Magiera wspomina o nim w swym rękopisie, znajdującym się w bibliotece ordynacji Zamoyskich.

W ostatnich latach 18-go w. ławnik miasta Warszawy Jan Gidelski próbował kilka wzlotów mniej lub więcej pomyślnych, wywołujących wśród licznie zebranych widzów wielki podziw dla odwagi eksperymentatora.

W słynnym ogrodzie Vauxhalle w Warszawie, będącym własnością Fryderyka Kabryta, a urządzonym dla widowisk i zabaw przez starostę piaseczyńskiego i kamerdynera królewskiego Franciszka Ryxa, wzleciał balonem przebywszy na pokaz do stolicy w r. 1790 słynny Fr. Blanchard. Aeronauta wzniósł się wtedy z przywiązanym do spadochronu psem, którego zanim opadł na Jabłonną, wyrzucił. Zwierzak również szczęśliwie wylądował, jak i jego pan.

W kilka tygodni później ten sam Blanchard wzniósł się wraz z uczonym podróżnikiem (przyszłym samobójcą) Janem Potockim z jego ogrodu przy dawnym pałacu Mniszków, gdzie dziś jest Resursa Kupiecka. Towarzyszył aeronautom ciągle ten sam pies — biały pudel, który razem z nimi wylądował szczęśliwie na błoniach pod Wolą.

Następnie w roku 1800 pan August Kajzer, stolarz i mechanik ogłosił, że puści pod obłoki, jak wspomina A. Kraushar niewiastę z blonek zwierzęcych uklejoną w sposób figur, — przez Enselna w roku 1795 okazywanych. Lecz figurę niewiasty przegryzł kwas siarczany, do wytworzenia wodoru użyty i wzlot się nie odbył.

W r. 1806 wzlatywał z tegoż Foxsalu Mołdawianin Jordaki Kuparenko, który opuścił się z balonem w ogrodzie, zajmowanym w końcu 19-go wieku przez teatr Alkazar, przy ulicy Królewskiej, należącej wtedy do Szymanowskich.

W r. 1809, dnia 2 czerwca wzniósł się balonem z Foxsalu Anglik Robertson, przedtem demonstrując swój balon w pałacu Prymasowskim przy ulicy Senatorskiej.

Próbowali potem nieudałych wzlotów w r. 1812 Francuz Lenoir z dziedzińca dawnego pałacu Branieckich na Podwalu Nr. 3 (przechodzi na ul. Miodową) oraz inny Francuz Michaux z Saskiego dziedzińca w r. 1816.

W 1817 r. zjawił się w Warszawie słynny aeronauta Richard, który wzniósłszy się z Foxalu opadł w okolicach Wołomina.

16 września 1832 r. wyruszyła w podróż podniebną kobieta, p. Eliza Gornerini. Start odbył się w Ogrodzie Saskim. Podczas lotu opuściła się ze spadochronem w Alejach Jerozolimskich. Eksperyment ten był o tyle ciekawy, że dzielna niewiasta nie wyskoczyła z kosza, lecz kosz przywiązany do spadochronu odcięła od balonu i siedząc w nim opadła na drzewa alei, łamiąc przytem rękę.

Długo potem nie słyszano w stolicy nic o napowietrznych podróżach. Dopiero w 1874 r. Feliks Fryze, świetny reporter „Kurjera Warszawskiego", późniejszy założyciel „Kuriera Porannego" puścił się z aeronautą Eunclem balonem ku przerażeniu redaktora Wacława Szymanowskiego.

W dziewiątym dziesiątku 19-go stulecia kilkakrotnie dokonywała wzlotów w Warszawie balonem swego nazwiska akrobatka i aeronautka Leona Dare, trzymając się zębami za sznur bez pomocy rąk i wisząc tak w powietrzu pod balonem, dopóki statek nie znikł z oczu widzów. Wzloty odbywały się to w ogrodzie Saskim, to z placu Ujazdowskiego, to znów z pola Mokotowskiego.

Ostatnim dojącym podobne widowiska w latach 1903—1907 był znany szerokim kołom wesołych Warszawian Niemiec o włoskim nazwisku Ernst Vitollo, początkowo dyrektor tingel-tanglu Aleknadryna.

Z kart fantastycznych powieści i legend wzleciał samolot współczesny wysoko ku górze — drogą jaką mu wskazał genjusz i praca ludzka. Na wyczyny naszych praojców w dziedzinie lotnictwa patrzymy dziś, jak na niewinne, naiwne zabawy i rozrywki. Dziś lotnictwo szybko przedostało się do każdej niemal dziedziny życia. Samolot staje się dla nas tem, czem dla dawnych eksperymentów aeronautyki samochód lub kolej żelazna.

Uwaga! Kilometr 32!

(Nowela)

Duża ośmiocylindrowa maszyna mknęła prawie bez szmeru po idealnie równej wyasfaltowanej szosie biegnącej wzdłuż skalistego południowego wybrzeża francuskiego. Noc była bezksiężycowa, lecz duże reflektory maszyny jaskrawemi snopami świateł wrzynały się w ciemność, ślizgając się to po groźnych wysiekach skalnych między któremi wiła się droga, to kładły się miękko na lśniącym asfalcie, biegnąc niestrudzenie przed maszyną — jak dwa ogary — ciągle czujne, zawsze gotowe pana swego ostrzec czy to przed nagłą jakąś przeszkodą, czy inną maszyną jadącą naprzeciw.

Pochylony nad kierownicą siedział młody człowiek, śledząc bystro szlak oświetlony reflektorami. Znał widocznie drogę doskonale, gdyż nie zwalniając tempa maszyny brał ledwo dostrzegalnym ruchem kierownicy najbardziej nawet ostre zakręty. Tuż koło niego siedziała młoda kobieta, oczy jednak nie zachwycały się niesamowitym wprost widokiem groźnych szczelin skalnych, ukazujących się co chwila w podskokach świateł reflektorów — lecz z pewnym żalem i jakby skruchą spoczywały na chmurnej twarzy towarzysza.

Kilkakrotnie usta jej poruszały się w bolesnym skurczu wreszcie wydarła się z nich żałosna skarga:

— Powiedz Janku czemu się gniewasz? od samej Marsylji słowem się do mnie nie odezwałeś!

Kierowca niecierpliwie dotknął akseleratora i maszyna skoczyła wprzód w gwałtownym susie ocierając się prawie błotnikiem o betonową barjerę odgraniczającą szosę od kilkumetrowej przepaści.

— Dlaczego, dlaczego? — syknął hamując gniew — dlaczego właściwie kazałeś wmontować ten odbiornik radjowy w maszynę, wiesz przecież doskonale, że radja nie cierpię i nie znoszę!

— Chciałam ci zrobić Janku niespodziankę, nie wiedziałam, że aż tak nie lubisz muzyki — usprawiedliwiała się kobieta, a w oczach jej pokazały się duże łzy.

— Należało więc wpakować w maszynę fortepian, orkiestrę, harmonję, jazzband — wogóle wszystkie instrumenty, jakie w Marsylji dostac można. Z radjem byłby to wspaniały komplet — wybuchnął kierowca. Kobieta nie odpowiedziała ,lecz po świeżych jej policzkach pocieły spływać łzy, których mimo zaciśniętych powiek powstrzymać nie mogła.

Nagle maszyna zgrzytnęła przeraźliwie hamulcami i stanęła tak gwałtownie, że pasażerka głową uderzyła o przednią szybę.

Kobieta otwarła szeroko oczy, poczem przetarła je kilkakrotnie, lecz ku zdumieniu swemu nie mogła zobaczyć towarzysza. Czarna płachta ciemności zakryła nietylko maszynę lecz i wszystko wokół.

— Co się stało Janku — zapytała trwożliwie.

— Światła zgasły — odparł krótko, poczem wyszedłszy z maszyny począł coś manipulować pod maską motoru. Pracował dosyć długo, lecz mimo wysiłków światła nie zapaliły się. Zniechęcony siadł znowu przy kierownicy i łagodnym już głosem przemówił do swej towarzyszki.

— Mamy jeszcze trzy kilometry, do najbliższej stacji benzynowej, gdzie jest mechanik, który światło przyprowadzi do porządku. Znam drogę doskonale, więc jeśli się Irenko nie boisz pójdę po ciemku.

— Z tobą Janku bać się! zawołała z wyrzutem.

— Mam zresztą kieszonkową lampkę, powieszę ją na chłodnicy i jakoś przecież do stacji dociągniemy — rzucił już teraz wesoło.

Po chwili maszyna ruszyła zrazu wolno, potem coraz szybciej, droga tu bowiem była zupełnie prosta.

Irena zadowolona iż towarzysz jej przestał się gniewać wyciągnęła przed siebie ręce i nagle palce jej dotknęły jakiegoś guziczka. Dotknęła go, potem przekręciła, i nagle z odbiornika umieszczonego w tylnej ścianie maszyny rozległ się donośny głos:

— Uwaga! Automobiliści uwaga. Kilometr 32-gi na drodze Marsylja — Martique! Wskutek obsunięcia się skały mostek na 32-gim kilometrze runął w przepaść. Uwaga automobiliści! Uwaga!

Jeden gwałtowny ruch nogi na hamulce i maszyna stanęła. Jan szybko opuścił swoje miejsce i chwyciwszy lampkę wiszącą na chłodnicy, pobiegł z nią wprzód i wkrótce zniknął za zakrętem. Po chwili powrócił zziajany i widząc Irenę stojącą koło maszyny na drodze, porwał ją w objęcia i począł twarz jej pokrywać pocałunkami.

Wreszcie przycisnąwszy jej głowę do piersi wyszeptał:

— Twoje radjo Iruś nas ocaliło! Pół kilometra przed nami przepaść — nie zdążyłbym maszyny zatrzymać!

3)

Radość życia

powieść

Potem przyszła jeszcze flaszka wina. Teraz już zalewałem się niem i czułem, jak we mnie wzbiera ogromne pragnienie wejść na estradę, wziąć skrzypki z rąk grajka i spróbować znowu zagrać. Ale nie — nie chcę tego, nie chcę. Jeszcze zawcześnie na podobny eksperyment. Jeszcze czasem odczuwam niemoc w ramieniu, jeszcze skrzep mięśni nie „przeszedł". Lecz on przejdzie, musi przejść. Lekarze zapewniali mnie o tem od samego początku, chociaż im nie wierzyłem. Zalecali tylko dużo ćwiczeń cielesnych i dużo ruchu. Ja to wykonywałem, chociaż nie z myślą o tych radach. Doiłem codziennie przecież owce, wyrabiałem sery, pracowałem wiele i ręce moje w ciągłym były ruchu. Skutek tego odczuwam już dziś: mogę podnieść ramię na wysokość ucha, co jeszcze niedawno było niemożliwością.

Siedzę więc nadal przy moim brudnym stoliku, sączę wino, myślę o mojej ręce i prawie nie słucham gry biednego skrzypka na estradzie. Dochodzę nawet do wniosku, co mnie już teraz nie dziwi, że można tak siedzieć całemi godzinami i nie słyszeć wcale tych rozpaczliwych tonów, co słuch tną na kawałki. Trudno, każdy zarabia na chleb powszedni, jak umie. Niema wprawdzie za złamanego obola prawdy w tych melodjach biednego grajka, ale to nie jest jeszcze warunkiem sine qua non, by człowiek ten grać nie miał.

Wino jest naprawdę nektarem boskim. Nie dziwię się, że dawni Grecy wyimaginowali sobie Bachusa. Był to najmądrzejszy i najweselszy bóg z całej boskiej rodziny olimpijskiej. Wolę go nawet od Pallas-Ateny, choć ta dnia pewnego wyskoczyła w pełnej zbroi z czoła starego Zeusa. Zbroja ta napewno musiała być szmelcowana, skoro staremu Zeusowi mózg od niej nie zardzewiał i nie zjełczał, jak to masło, na którem smażona była baranina, którą zjadłem. Tak szkaradnie daje ona teraz znać o sobie.

Przed oczyma mam przedziwne mgiełki, w mózgu przyjemny szumek. Opar wina rozłazi mi się po kościach i obezwładnia mnie. Ręki podnieść nie mogę, dźwignąćbym się nie potrafił, ale cóż to znaczy wobec nastroju, w jakim jestem?

Lecz muszę zbierać się do drogi powrotnej. Moja pasterka czeka mnie tam z utęsknieniem. Dziwna kobieta! Dlaczego oczy jej przybierają zawsze taki dziwny wyraz, gdy ją całuję lub chcę pocałować? Kim ona jest, że posiada taką siłę w oczach? Muszę ją o to zapytać, muszę koniecznie dowiedzieć się, co za tajemnica kryje się w tem wszystkiem. Tak, muszę zapytać, skoro tylko wrócę na te nasze pagórki.

Zgarniam książki, sprawdzam na piersiach połę zapisanego chitonu, płacę, podnoszę się i wychodzę z zadymionej izby na świeże powietrze ulicy. Wiatr zawiewa od morza i rzeźwi tak mocno, że moje mgiełki i ten dziwny szumek, znikają bezzwłocznie. Jest cudna jasna noc. W taką noc, jak w dzień słoneczny, można wędrować bez żadnej obawy lub lęku. Lęku? A czegoż ja miałbym się lękać? Nie mam przy sobie absolutnie nic, cokolwiek złoczyńcom przydaćby się mogło. Odzież moja stara i znoszona, a nuty? Książki? Któż w dzisiejszym czasie połakomi się na podobne rzeczy?

Zatem naprzód! Opuszczę to miasto handlarskie, miasto interesów, drachm, wrzasków i krzyków ludzkich i powędruję tam, gdzie harmonia i cisza są jedynymi władcami krainy wzgórz i pagórków.

VII

Cudowna siła wiekuistego słońca, jakżeś jest wszechmocna i wspaniała! Ty jedno, o słońce, opowiedzieć mogłobyś tysiące najciekawszych historii, zdarzeń i wypadków, gdybyś — mówić mogło i chciało. Lecz cóż! Mimo swej wszechmocy — jesteś bezsilne i kręcisz się jako i ja, bezradnie. I w tem jest twój tragizm, że nie śmiesz zboczyć ani na włos z nakreślonej ci w prawiekach drogi. Ani na włos! Pod tym względem ja, marny proch ludzki, zagubiony we wszechświecie — jestem od ciebie potężniejszym, bo drogę moją wybieram według mej woli, której nawet ty, straszliwa siło wszechświata, odmieniać nie jesteś w stanie.

Oto teraz oko twoje przysłonięte subtelnemi mgiełkami, co wiszą nad wąwozami i jarami gęstą oponą, a nad pagórkami rozsnuwają się przezroczystemi pasmami — wyziera z poza najwyższego wzgórka po to jedynie, by spełnić swoje odwieczne przeznaczenie, którego nikt nie odmieni, dokąd nie wypełni się ono do końca. A ty nie znasz tego końca, jak i ja go nie znam. Pod tym względem jesteśmy sobie równi. Znamy nasz początek, lecz nie znamy końca.

I nikt go nie zna.

Ani ty, o słońce, ani twoi tak liczni satyliści, ani żaden człowiek, ani żaden zwierz lub roślina, ani nikt, nikt na świecie...

Mijam wądoły i rozłogi dzikie, przebiegam wyniosłości, a z każdym krokiem zbliżam się do Niobe, do mej pasterki, do tej dziwnej kobiety, której oczy pokorne i groźne jednocześnie, bólem i skargą, grozą pomstą tchnące, jak miraż pustynny idą wciąż przede mną i kuszą — kuszą obietnicą rozkoszy, jakiej nie zaznał dotąd nikt z pośród żyjących na tym globie, w jakimkolwiek jego zakątku mieszkający, lub grożący karą straszliwą, od mąk Tantala straszliwszą, ale ja nie mam sił wyrzec się widoku tych oczu, bo już dziś czuję, że te oczy są jakby mojemi własnemi, a któż dobrowolnie wyrzekłby się oczu własnych?

Jeszcze niewiele czasu i niewiele drogi, czego nie liczę ani na godziny, ani na kilometry, a zobaczę Niobe na najwyższem z wzgórz. Będzie mnie tam oczekiwała i chustą pokiwa na me powitanie.

Niobe!

Jakież cudne jest to imię! Nikt, żadna istota ludzka nie nosiła nigdy podobnego imienia. I nigdy nikt nosić go nie będzie. Jest ono własnością jedynie mojej bosonogiej pasterki, o czem jednak nikt nie wie dotąd.

Przyspieszam kroku. Nogi moje nie czują żadnego zmęczenia; niosą mnie tak żwawo, jak nogi młodzieńca. A ja przecież jestem już mężczyzną, który przekroczył Rubikon życia i każdy krok w przód, to krok ku brzegowi Styksu. Co jest na drugim jego brzegu? Dlaczego nikt dotąd nie wrócił stamtąd do żywych, by im to powiedzieć? Dlaczego? Oto pytanie, którego nie zgłębi umysł ludzki. Jestże tam co: inne życie, inny świat, czy też niema? A jeśli jest, to jak to wygląda? A jeśli znów niema, to po co te nadzieje, wiary w istnienie drugiego świata, w którym naprawione zostaną wszelkie błędy i krzywdy?

Naprawione krzywdy! Krzywda jest prawieczną. Była, jest i będzie. Nikt drugi nie naprawi waszej krzywdy, tylko wy sami, wy jedni. Żaden inny świat tego nie jest mocen dokonać. Bo krzywda nasza przyrasta do nas, jak szata Dejaniry. Spróbójcież tedy odebrać od własnego siebie krzywdę.

W rannych blaskach złotego dnia rozbłyska przede mną ów pagórek, z którego żegnała mnie tak długo moja pasterka. Przystaję na chwilę, wpatruję się mocnym wzrokiem w oddal-i...

To może tylko złudzenie. Ranne słońce lubi nam sprawiać niespodzianki. To przecież niemożliwe... Moja Niobe napewno powita mnie, napewno... Zresztą, może się pomyliłem? Wśród tylu pagórków

Teraz nie idę już, lecz biegnę. Coś mnie pędzi, gna, smaga płomieniem. Nigdy w mojem dotychczasowem życiu nie doświadczałem podobnych uczuć. Nigdy! Z mojej piersi zrywa się krzyk, ni to wezwania, ni to prośby:

— Niobe!.. Nio... be!

Gdzieś daleko, daleko powtórzyło się wezwanie, jakby mi ktoś odpowiedział dziwnym głosem. Zdaje mi się, jakbym go słyszał z pod ziemi wychodzącym.

— Niobe!

— Niooo-beee...

Ach, to tylko echo. To ono roznosi mój głos od pagórka do pagórka, od jaru do jaru, a te znowu podchwytują i niosą dalej i dalej, hen na północ, ku wysokim górom Macedonii i jakby naśmiewają się ze mnie.

Czy to możliwe?

— Niobe, gdzie jesteś?

Zamieram na miejscu, przemieniam się cały w słuch, kamienieję.

Nic, żadnej odpowiedzi.

Echo tylko tłucze się, drwi, śmieje mi się w twarz, a ja nie mam sił ukarać go za te drwiny, co szarpią moje serce, jak harpie.

Ruszam znowu dalej. Przebiegam pagórki, przebiegam wądoły, wołam i krzyczę, grożę i błagam, przeklinam i modlę się do mego Boga i do bogów Starej Hellady, wzywam wszystkie moce i siły na pomoc, lecz wszystko to nic nie pomaga, nic pomóc nie może.

Po Niobe nawet ślad nie pozostał. Nie masz tu ani jej, ani jej stad.

Zmęczony ogromnie, wyczerpany, padam wreszcie na miejscu, gdzie jeszcze niedawno ona, moja boska bosonoga pasterka, ognisko paliła, twarz ukrywam w jedynej całej pole mego zniszczonego chitona i łkam, jakże gorzko łkam.

Teraz dopiero czuję, że dla mnie stała się już i czem być mogła Niobe. Teraz dopiero pojmuję, że jeśli nie odnajdę jej — jakże marnym będzie dalszy mój żywot na tym zimnym i obojętnym globie.

A potem ogarnia mnie bezwład, nad którym zapanować nie mam sił i już o niczem nie myślę. Bo i po co? Co mi przyjdzie z myślenia? Co przyszło Sokratesowi z odkrycia istotnych źródeł prawd? Zginął przecież na rozkaz możnych swego czasu. Wprawdzie z godnością i honorem, jak na mędrca przystało, ale zginął.

Ja nie mam innych prawd własnych prócz tej jednej, widzę jasno. Wszystko inne, co było dotąd — było szaleństwem i kłamstwem. To jest jedyna moja prawda. I czy to dla niej mam ginąć? Na brzegu szczęścia? I czy to przez nią wszyscy szatani wygrywają na mojej duszy swoje piekielne sarabandy, w których ja zwijam się, jak robak nadepnięty nogą?

Ach, nie myśleć, nie czuć, nic nie czuć!

VIII.

Wieczorny chłód pozwolił mi jakoś uporządkować zarówno nerwy, jak myśli. To już noc, najgłębsza noc. Nade mną granatowy klosz nabity gęsto świecącemi płomykami.

Otrząsam się z przygnębienia, ale czuję, jak bardzo boli mnie serce i boli dusza. Sam już nie wiem, czy ja żyję, czy jestem cieniem pośród innych cieniów, które rzucają pagórki i kamienie. Lecz chyba żyję...

Podnoszę głowę i patrzę w niebo tak bardzo dzisiaj wygwieżdżone i nie mogę napatrzeć się na roje gwiazd.

Kołują one w swoich odwiecznych obrotach, wisząc nad uśpioną ziemią, jak potworne, nieogarnione czyjeś życie. Bliskie i coś mówiące ziemi wydają mi się te wiecznie wpatrzone, wiecznie bezsenne oczy niezliczonych gwiazd. Domagają się od człowieka szczerej odpowiedzi i ostatniego wyznania.

— Powiedz, powiedz — szepce wśród martwej nieporuszonej ciszy tajemniczy świat gwiazd.

I dochodzi do ziemi przejmujące szeptanie. Przebywa niepojęte dalekości między światami, i słyszy je dusza, słyszy wyraźnie w tej swojej trwodze. — Powiedzże, wyznaj, człowieku, poco ty żyjesz, poco istniejesz?

Tak szepcą teraz do mnie z nieba zawsze obecne gwiazdy. Tak co noc, od milionów lat uczą człowieka, i rok za rokiem gromadzi się w nim śmiertelna mądrość, która jest nie z tej ziemi, nie dla tego życia. I pogardzi człowiek życiem i pogardzi wszelką sprawą życia, jego wszelką rozkoszą i każdym obowiązkiem. Na wszystko znieczuleje tam, gdzieś w szczerej głębi swojej istoty. Będzie żył i ruszał się po świecie, będzie coś czynił między ludźmi — jednak na zawsze nic warte i wymuszone będą jego czyny. Udane będą jego dążenia, kłamana będzie każda jego wiara. Tęsknić będzie do wieczności i niczego już nie ukocha naprawdę...

IX.

Znalazłem za dnia ślady nóg jej owiec i teraz idę temi śladami, kij mój pasterski mając jedynie za towarzysza.

Chwilami przychodzi mi na myśl, że to wszystko, co ja uznaję za rzeczywistość i prawdę, to był tylko sen, który, jak każdy sen, prysnął wraz z przebudzeniem.

Niobe była mitem, nie istniała nigdy. I nic również nie istniało, co dziać się miało do tego czasu. Ja sam nie byłem nigdy sławnym muzykiem, ale tylko pasterzem greckim.

Ziemia dawnych Hellenów ma coś w sobie utajonego i tajemniczego, co tak dziwnie działa na ludzi. Onaż to wydała umysły o najcudowniejszym polocie myśli i fantazji, które stworzyły arcydzieła wiekuistego piękna i poezji. Od nadmiaru myślenia o przeszłości tej ziemi pomącił się mój umysł.

Teraz myślę trzeźwo, nawet bardzo trzeźwo. Ale dlaczego idę śladami owczego stada?

To bardzo przecież proste. Jestem pasterzem, zwyczajnym pasterzem greckim. Zgubiłem moje stada, zasnąwszy zbyt mocno, i teraz idę ich szukać.

A ślady są bardzo wyraźne, świeże, jakby zaledwie na chwilę przed mojem tu przyjściem wydeptane. Gonię je, jak złudny miraż i dopędzić nie mogę. Sam już nie wiem, jak długo to trwa: godziny? dnie? miesiące?

Dnie mijają się z nocami — a ja idę i idę.

Kiedyś widziałem obraz, który malarz nazwał „Pogonią za szczęściem". Czarny rycerz na czarnym koniu ścigał drogą usłaną trupami swych poprzedników, uciekające przed nim światełko — majak, ów symbol szczęścia. Za plecami siedział szatan i śmiał się, śmiał i śmiał.

Przypomniało mi się to teraz, bo odnoszę i ja wrażenie, jakbym gonił jakiś nierealny majak, któ-

rego nigdy nie doścignę. Bo jakże można doścignąć coś, co nigdy nie istniało?

Dokoła bezdenna pustka. Czasem na drodze mojej spotykam pasterzy, więc zachodzę do ich szałasów, gdzie nader chętnie mnie przyjmują. Gdy mnie pytają o cel mej wędrówki, nie mówię im prawdy. Bo i poco? Ci ludzie i takby mnie nie zrozumieli: Odpowiadam wprost, że szukam zgubionego stada lub też podążam do Macedonii.

Pewnego wieczoru, kiedy zatrzymałem się na nocleg w szałasie pasterzy, spostrzegłem przelotnie dziewczynę, która wydała mi się moją Niobe. — Wszystko we mnie zbudziło się znowu z dawną siłą pod wpływem tego wrażenia. Leżąc na garści suchych traw, czekałem z niepokojem, dopóki nie zasną moi gospodarze, abym mógł odszukać pasterkę.

Boże, jakże dłużył mi się ten czas!

Ale oto już donośne chrapanie moich współmieszkańców dało mi poznać, że niektórzy zapadają w twardy, zdrowy sen. Przeczekałem tak jeszcze pewien czas, poczem zwlokłem się z barłogu i ostrożnie zacząłem skradać się ku wyjściu. Rozkład szałasów pasterskich znany mi był dobrze, nie obawiałem się więc zabłądzenia. Wiedziałem, gdzie szukać pasterki, to też skoro tylko szczęśliwie wydostałem się z przedziału, gdzie spali mężczyźni, niezwłocznie poszedłem tam, gdzie byłem pewien, że zastanę znajomą, którą mogła być Niobe.

Na skrzyp otwieranych drzwi, pilnujący pies zaszczekał krótko, poczem umilkł i warczał tylko głucho. Gdzieś w kącie ktoś się poruszył, a następnie spytał senny głos kobiecy:

— Kto to?

— Niobe, czy to ty? — odrzekłem pytaniem, a jednocześnie czułem, jak bardzo głos mi drży.

— Kto to? — powtórzono pytanie, lecz w głosie tym nie znajdowałem żadnego podobieństwa do głosu mej pasterki. Tymczasem dziewczyna podniosła się na swojem legowisku i podeszła do mnie. Była tego samego wzrostu, co Niobe i nawet przypominająca ją nieco, ale nie była to bynajmniej Niobe.

W usprawiedliwiających słowach, jakie wymamrotałem, cofając się na dwór, dziewczyna znalazła snać coś niejasnego, gdyż już w wyjściu zatrzymała mnie. Popatrzyła mi w twarz, a potem rzekła:

— Obcy? Skąd pan się tu wziął? Kim jesteś?

— Jestem pasterzem wędrownym. Idę ku granicy Macedonii.

— Czego tam szukasz — guza? Tam i głowę łatwo stracić. Tam przybyszów nie lubią. Zostań tu.

— Nie, nie mogę. Zgubiłem stada — znaleźć je muszę.

— Prędzej głowę zgubisz, niż stado znajdziesz. Idzie zima, w górach zimno i śnieg.

Patrzyła na mnie wzrokiem błyszczącym, w którym czaiła się jakaś zaduma głęboka i jakby tęsknota bolesna za czemś dalekiem i niepowrotnem. W pewnej chwili chwyciła mnie raptem za rękaw i zbliżywszy roznamiętnioną nagle twarz do mego ucha, zaczęła mówić gorączkowo:

— Zresztą, idź, idź tam! Tyś obcy, tyś nie Grek i nie pasterz, oni tam nie zrobią tobie krzywdy... A może spotkasz mojego Konstantyna — on taki młody jak ty — to powiedz mu... powiedz, że Halia czeka na niego, czeka, tęskni i cierpi.

Po tych słowach wypchnęła mnie za drzwi i założyła je od wewnątrz na kij. Stałem pewien czas na miejscu, zastanawiając się nad tem wszystkiem, a potem machnąłem ręką i wróciłem na swoje legowisko, powtarzając w myślach: „Dobrze, dobrze, biedna Halio, skoro spotkam twojego Konstantyna, powiem mu, że czekasz, tęsknisz i cierpisz. Jeśli go spotkam...“

Ranne życie, tak mi już dobrze znane: głosy ludzkie, beczenie owiec, szczekanie psów, dojenie i wypędzanie stad na paszę — postawiło i mnie na nogi. Trzeba było i mnie zbierać się w drogę. Oznajmiłem to staremu pasterzowi, gdy zjawił się w szałasie.

— Tak, komu w drogę, temu czas — odrzekł. Każdy człowiek chadza w życiu własnemi drogami. Niema dwóch dróg ludzkich podobnych do siebie. Ty idziesz do Macedonii?

Skinąłem potakująco głową.

— Kto wie, jak się stać może; ścieżki ludzkie przecinają się czasem. Może spotkasz tam Konstantyna Nikopolusa — pozdrów go od Halii.

Drgnąłem. Ciekawość we mnie przemogła. Więc ów Konstantyn istnieje naprawdę, a nie jest wytworem chorego mózgu owej Halii? — pomyślałem i zapragnąłem dowiedzieć się coś bliższego o tym osobniku. Spytałem więc:

— A któż to jest ów Konstantyn, ojcze?

— Ach, to cała historia — odczekł starzec, przykucając na barłogu przy mnie i nabijając swoją długą fajkę. — Opowiem ci ją, chociaż znana ona jest na pograniczu wszystkim pasterzom. Tyś jednak obcy, idziesz z daleka, możesz jej więc naprawdę nie znać. Słuchaj... — Tu stary pasterz skrzesał krzesiwem ognia, zapalił fajkę, otoczył się kłębami dymu i tak snuł swoje opowiadanie: — Wiedz o tem, chłopcze, że między pasterzami naszymi, a macedońskiemi, trwają nieustanne, odwieczne walki o pastwiska, które sięgają początkami swemi może Filipa II Macedońskiego, a może jeszcze głębiej w przeszłość. Zeszłego roku, kiedy wypasaliśmy stoki górskie na pograniczu Macedonii — nam przewodził młody, urodziwy i posiadający siłę byka — Konstantyn Nikopolus, narzeczony najpiękniejszej z pasterek, Halii. Pewnej jesiennej nocy, kiedy straże nasze, zmęczone chłodem nocnym, zasnęły, na obozowisko nasze spadli komitadżowie z gór, zabrali stada i uprowadzili wielu ludzi, a wśród nich Konstantyna, choć posiadał siłę tura. I odtąd słuch zaginął zarówno po naszych stadach, jak i po ludziach. Halia od tego czasu doznała zaćmienia umysłu i każdego spotkanego obcego prosi, by, kiedy spotka Konstantyna, powiedział mu, że czeka go, tęskni i cierpi... Czy ciebie nie prosiła o to?

— Nie, nie prosiła mnie, ojcze — skłamałem.

— Smutna to historia, panie, nieprawdaż?

— Tak, bardzo smutna. A cóż, wiadomo wam chociaż, czy Konstantyn żyje?

— Różnie mówią: jedni, że rozmiłował się tam w jakiejś kobiecie i przysiągł jej zostać na zawsze, przystawszy do komitadżów, drudzy, że przewodzi jakiejś bandzie, która przemytem się trudni i wyrósł na wielkiego bogacza. Któż zgadnie, gdzie prawda leży? To jedno jest prawdą, że Halia z wielkiego kochania ma rozum pomylony i że z dnia na dzień chudnie i zapewne zemrzeć przyjdzie niebodze.

— Smutne to dzieje — zauważyłem.

— Tak dzieje kochania zawsze prawie smutne.

Jakiś czas trwało głuche milczenie, przerywane tylko pykaniem fajki starego pasterza, poczem znów zagadał:

— Ale gdybyś go tam gdzie spotkał — powtórz mu te słowa.

— Przyrzekam to.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

Nawet w biały dzień, nawet o godzinie trzeciej po południu..

Wiejski spokój głuchej wioski.

A hałaśliwy Paryż jest tak blisko, tak wyraźnie zakrada się w tę ciszę jego chaotyczny turkot.

Obejrzawszy się, pan w czarnem włożył ciemne okulary i zaczął jeśli nie kuleć, to w każdym razie ciężko opierać się o laskę.

Zatrzymał się przed dwupiętrową willą o lekkim, pawilonowym stylu i zadzwonił. Lekkie drżenie ręki, trzymającej laskę, zdradzało jego zdenerwowanie.

Kiedyś mówił o sobie, że jest człowiekiem bez nerwów, a jednak denerwował się.

W jego życiu, pełnem zmienności losu, nie było jeszcze tak wielkiej i ryzykownej gry...

Wszystko zostało przemyślane, zważone, i wszystko może runąć z byle głupstwa, jak domek z kart od nieostrożnego dmuchnięcia dziecka.

Oto dlaczego trzydzieści czy dwadzieścia sekund czekania rozciągnęło się w taką długą, męczącą pauzę.

Drzwi się otworzyły i na ganek wyszedł chudy, wysoki starzec z siwą brodą, w długim jedwabnym chałacie w czerwono-żółte podłużne paseczki i w czałmie na głowie.

Chciał krzyknąć „Kerim!", ale powstrzymał się. A jeśli to nie jest on? A zatem — ostrożnie! Nie tak ekspansywnie!

Starzec nie spiesząc się zeszedł po stopniach, powoli zbliżył się do siatki na bramie i spojrzał badawczo i ponuro z pod siwych brwi na pana w czarnem, który podniósł na czoło ciemne okulary i wyczekująco patrzał na niego.

Koścista i sucha twarz starego Mugańczyka wyrażała początkowo pewne wahanie się, po chwili jednak zaczęła się ożywiać i wreszcie zabłysły i ożyły jego oczy:

— Panie mój, bracie mój!..

— Kerim!..

Mleczny brat Ałmaz-Chana otworzył furtkę naścieżaj i pocałował Gafaniego w ramię. Gafani dotknął twarzą jego czałmy..

— Ah! jakże szczęśliwy będzie najjaśniejszy pan mój! On powie, — niech Ałłach przedłuży jego dni! — teraz mogę umrzeć spokojnie!

— Szlachetny Ałmaz-Chan, mój dziadek, w domu?

— Odpoczywa po obiedzie.

I cicho, ze smutkiem dodał Kerim:

— Słabnie z latami mój władca! I wzrok już ma nie taki, jak dawniej, sokoli...

— Miejmy nadzieję.. Wielki jest Ałłach...

— Wielki jest Ałłach, — powtórzył starzec, podnosząc twarz ku niebiosom.

— Ty rozumiesz, Kerim, tułając się po obczyźnie, po wielu ranach i kontuzjach, zapomniałem nietylko ojczystego języka mugańskiego, nietylko, że słabo mogę się porozumieć po rosyjsku, ale nawet pamięć zaczęła nie dopisywać... Z prawą nogą źle... Dużo walczyłem.. Póki mieliśmy własną ziemię — walczyłem na własnej, potem na obcych ziemiach.

Mleczny brat Ałmaz-Chana ze współczuciem pokiwał głową.

— Grzeszny jest świat... Groźny gniew Ałłacha... Biada milionom prawowiernych... Nie broni ich, jak dawniej, Prorok swoim cudotwórczym płaszczem... Jego święta wola! Ale wejdźmy do domu, który jest twoim od dziś domem, tak długo oczekiwany panie i bracie mój!..

W pokoju gościnnym, umeblowanym podług wschodniego zwyczaju, z dywanami i niskiemi otomanami wzdłuż ścian, Kerim rzekł do drogiego gościa:

— Pozostań tu, ja pójdę do jego sypialni. Już czas budzić najjaśniejszego władcę. Przygotuję go odpowiednio, nie powiem odrazu... Nie można odrazu... To już nie dawny Ałmaz-Chan, który jeszcze siedem lat temu walczył z bolszewikami w stepach Turkiestanu, jak Iman Ali, jak ten groźny lew Ałłacha. Nie ten już... Lata, choroby, tęsknota za tobą, za Muganją, zbezczeszczoną przez niewiernych, zrobiły swoje...

Już odchodząc, Kerim odwrócił się i spojrzał na Gafaniego, trzymającego w ręce czarny melonik.

— Nie godzi się, byś stanął przed jego najjaśniejszemi oczyma w kapeluszu.. Tylko żydzi noszą w mieszkaniu czapki... Ale z otwartą głową nie przystoi. Ty, mam nadzieję, nie zaprzepaściłeś po cudzych krajach naszych muzułmańskich adatów?

„Zaczyna się ta przeklęta rytualna chińszczyzna, gdzie tak łatwo można kark sobie skręcić!" — pomyślał Gafani.

Ale Kerim sam pomógł wybrnąć z sytuacji:

— Poczekaj, ja zaraz... Wszystko będzie w porządku.

Wrócił po chwili, niosąc bordowy fez z granatowym chwastem.

— Włóż na głowę. Bardzo będzie dobrze. To nie zwykły fez, a relikwje... W nim zginął Enwer-Pasza, dzielnie walcząc z koranem w jednej ręce, a szablą w drugiej. Włóż i czekaj cierpliwie.

Minęło nie mniej niż pół godziny.

Gafani nie wiedział, gdzie się podziać. Siadał, wstawał, przechadzał się tędy i sędy, znowu siadał... Na chwilkę zajął się fezem. Zajrzał do lustra. „Bardzo, bardzo do twarzy w tym ubiorze głowy. Zupełnie robi wschodni typ... Ale gdzież się znajdują skarby mugańskiej dynastji? Tu, czy w safes'ie jakiegoś banku?"

To pytanie niezmiernie intrygowało samozwańca.

Nareszcie!

Kerim schodzi kręconemi schodami. Miękko klapią po stopniach czerwone, safjanowe, wschodnie „babusze", bez obcasów i pięt.

— Najjaśniejszy władca czeka na ciebie, panie mój i bracie!

Ałmaz-Chan, stojąc spotkał swojego wnuka. W cztery oczy. Kerima nie było w pokoju.

Rasową twarz z ostremi rysami i brodą, ufarbowaną na ceglasto-czerwony kolor. W tej głowie szlachetnego, stepowego drapieżnika, w całej jego figurze było tak dużo dostojeństwa!

Na głowie biało-zielony zawój.

W tym zawoju i w czarnem z cienkiego sukna płaszczu z futrzanym kołnierzem, szerokim w ramionach i wąsko ściągniętym w pasie, Ałmaz-Chan robił wrażenie jeszcze wyższego.. Na wąziutkim, czarnym rzemyku zwisał z przodu na pasie kindżał z rękojeścią ze słoniowej kości i w czarnej pochwie.

Trudno było określić, co więcej przemawiało przez tę gamę ciemnych tonów: wyszukana skromność, czy wyszukany gust...

Ktokolwiek inny poddałby się czarowi tego starca o postaci muzułmanina-wojownika i Imama (świętego).

Ktokolwiek inny, ale nie Gafani, który od progu już spenetrował oczyma sypialnię Ałmaz-Chana, przyczem momentalnie żelazna szafa odrazu zawładnęła jego wyobraźnią i uwagą, a dopiero potem — Ałmaz-Chan.

Starzec przytłumił w sobie wielką radość i powściągliwie przywitał wnuka. Wnuk pocałował go w ramię. Dziadek przycisnął głowę wnuka do piersi.

— Nie zapomniałeś o mnie, Ammałat?

— Czy mogłem nie pamiętać o tym, który zastąpił mi ojca i wychował mnie... Kto ukarał zabójców Redżib-Chana, mojego ojca!!! Byłbym bardziej od ostatniego psa pogardy godzien...

Odpowiedź podobała się Ałmaz-Chanowi swoją treścią, ale Gafani z trudem zlepiał zdania po mugańsku.

Ałmaz-Chan rzekł:

— Wierny Kerim już mi mówił, że wielu rzeczy zapomniałeś.. Rób jak robisz: jeśli nie starczy ci ojczystych słów, uzupełniaj rosyjskiemi... Jeśli i tych i tamtych ci zabraknie, zrozumiem cię swojem starem sercem, które już niedługo będzie biło w piersi.... Czekałem tylko na ciebie, by wprosić się na wieczne odpocznienie do Ałłacha.

— O Ałmaz-Chanie, dziadku mój... nie trzeba mówić tak, ani myśleć! — z uczuciem powiedział Gafani.

— Już czas... Zrobiłem wszystko, co mogłem, i teraz, gdyś ty jest tu, prawny władco, nie jestem więcej potrzebny Muganji. Teraz mogę oddać tobie władzę i to, co wzmacnia każdą władzę, — Ałmaz-Chan odwrócił się w kierunku żelaznej szafy.

— Wielki Ałmaz-Chanie, dziadku mój, czy zachowały się czaszki zabójców mojego ojca? Czy zachowała się choć jedna z nich? Ta z wierszami rosyjskiego poety; Pamiętam ten wiersz i nigdy go nie zapomnę...

— Obie, — z dumą odpowiedział starzec — obie wszędzie mi towarzyszą. Ujrzysz je zaraz.

Niepewnym krokiem, zdradzającym słabość fizyczną, — Ałmaz-Chan tylko na kilka minut odmłodniał i nabrał sił, — zbliżył się do biurka i wyjął z szuflady skomplikowany płaski klucz.

Wróciwszy do Gafaniego, stojącego w pozie pełnej szacunku, starzec dopiero teraz zauważył, wpatrując się słabemi, choremi oczyma, jego fez;

— Raduje się ziębnąca już dusza moja, widząc, żeś pozostał takim samym dobrym prawowiernym, jakim byłeś dawniej.

Przywoławszy ruchem ręki do siebie wnuka, Ałmaz-Chan włożył klucz do ciężkich i masywnych drzwi szafy, które lekko się otworzyły z miękkim, elastycznym dźwiękiem.

— Patrz!..

To, co ujrzały zachwycone oczy Gafaniego, przeszło wszelkie jego oczekiwania!..

Od kasy ogniotrwałej do salonu w stylu Ludwika

W górnym przedziale szafy, na poduszce z malinowego aksamitu, w półmroku spoczywała osiemsetletnia korona Chanów Mugańskich, która promieniowała czarownym blaskiem..

Jej złoty trzon, podobny do hełmu, ciężki i niezgrabny, był grubo wykuty przez miejscowego rzemieślnika, nieobeznanego ze sztuką jubilerską.

Ale za to wielkie drogocenne kamienie, któremi gęsto był usiany ten monarszy hełm, nawet nie znawcę zdumiałyby doskonałością oszlifowania.

Na przestrzeni wielu wieków wojowniczy jeźdźcy mugańskich równin zdobywali śmiałością i swojemi ostremi szablami te przepiękne brylanty, rubiny i szmaragdy w pałacach perskich, indyjskich i chińskich władców, wpadając do tych krain z bajki, na swych małych, bystrych konikach stepowych.

Jak oślepiająco połyskują białe brylanty! Płoną odwiecznym ogniem czerwone rubiny! Ile mistycznego życia w tych zielonych szmaragdach!..

Gdy minął pierwszy moment zachwytu, Gafani pomyślał:

„Długi i trudny będzie proces spieniężania tych kamieni. I nie tylko tych kamieni. A te wielkie perły, wypełniające po brzegi obie czaszki?!..

Gafani zawołał:

— Ach, tu są one!.. Jakbym wczoraj je widział... I napis jest tak świeży i w oczach moich i w mojej pamięci...

Ałmaz-Chan w milczeniu wskazał na dolny przedział ogniotrwałej kasy, dokładnie wypełniony pękatym workiem ze skóry:

— Wyciągnij!

Silny Gafani z trudem wydobył ciężki worek i położył go na dywanie.

— Rozwiąż!

Wór był szczelnie wyładowany rosyjskiemi złotemi monetami po pięć i dziesięć rubli.

— To wszystko, co pozostało z naszego mugańskiego skarbca państwowego, uzupełnianego hojnością rosyjskich carów! — wyjaśnił Ałmaz-Chan.

„Może dla państwowego skarbca to nie jest wiele, ale dla mnie w zupełności wystarczy", — pomyślał Gafani.

Skórzany wór ze złotem wrócił do szafy na swoje miejsce. Zatrzasnęły się żelazne drzwi. Płaski klucz znalazł się spowrotem w szufladzie biurka.

Ałmaz-Chan rzekł:

— Wszystko to chowałem i wiozłem przez morza i pustynie, ażeby zwrócić tobie, następcy. Dzięki Ałłachowi znalazłeś się i przyszedłeś na mój zew... Pozostaniesz na tym świecie, więc dysponuj temi skarbami.. Ja odejdę w zaświaty, gdzie już niczego nie trzeba, gdzie będę na łasce Najwyższego.. Zresztą i w życiu kontentowałem się małem...

Ostatnie słowa nie były samochwałą, wystarczyło spojrzeć na ascetyczną postać Ałmaz-Chana w czarnym prostym futrzanym płaszczu i w biało-zielonym zawoju, będącym honorową odznaką Imama, który kilkakrotnie odwiedził Mekkę.

Następnie zapytał:

— Kiedy osiedlisz się w swoim domu?

— Ałmaz-Chanie, dziadku mój... Bolszewicy i tu mię tropią, i tu następują na pięty z chęcią zemsty za te wszystkie krzywdy, które im wyrządziłem. Każdą noc spędzam w innym hotelu. Nie bałem się ich w polu, nie boję się i teraz... Ale przezorna ostrożność czyż nie jest tak samo dobra, jak odwaga? Z tych to powodów pozwól mi odłożyć na jakiś czas to, do czego sam tak dążę. Bolszewicy niewątpliwie wiedzą wszystko. Wiedzą, gdzie ty mieszkasz i co przechowujesz w tej kasie! — Gafani wskazał głową w kierunku szafy. — Z ich strony można wszystkiego się spodziewać! Radziłbym złożyć do banku nasze skarby mugańskie. Im prędzej, tem lepiej.

— Rozważymy to jutro, — odpowiedział Ałmaz-Chan, — czuję się źle, pójdę do łóżka. A jutro opowiesz mi wszystko o sobie. Przyjdź o pierwszej godzinie, na obiad. Poczęstuję ciebie młodym barankiem. Mój kucharz — Kabardyńczyk — świetnie upiecze go na rożnie. Przypomni ci się ojczysta Muganja... Tylko, że tu nie mają delikatnych jagniąt! — westchnął starzec. — W Muganji wszystko było lepsze, aniżeli gdziekolwiekbądź w obcych krajach...

Odprowadzając Gafaniego, wierny Kerim wyszedł za furtkę i długo spoglądał w ślad za nim z pod swoich siwych brwi. (C. d. n.)

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

„Niech cię Bóg błogosławi, droga córko, za te słowa“, odparła Alma, „błogosławieństwo matki będzie ci towarzyszyć aż do ostatniej chwili. Moja godzina już wybiła. Czuję, że muszę was opuścić. Dlatego pozwólcie mi się z wami pożegnać!“

„Almo, chcesz mię opuścić?“ zawołał Zygmunt boleśnie wzruszony, „przynajmniej powiedz, że mi przebaczasz!“

Równocześnie upadł na kolana i ukrył swą twarz na jej łonie.

„Nie mam nic do przebaczania!“ rzekła spokojnie umierająca kobieta. „Twoja miłość była dla mnie jedynem szczęściem i jedyną dumą!“

„A tutaj“, mówiła dalej Alma, „widzę moją najdroższą istotę, o której marzyłam ciągle we śnie. — Nieprawda, nazywa się Elżutka? To imię pozostało mi w uszach z dawnych czasów! — Zygmuncie, czytam w oczach Elżutki, — ona cię kocha!“

„Tak, kocha mię!“ zawołał Zygmunt. „Muszę ci więc wyjawić drugą winę, moja droga Almo. Moje serce należy do tej damy. Dałem jej moje słowo, że się z nią ożenię, — gdy, — o Boże, — tak mi to ciężko przychodzi!“

„Dlaczego nie kończysz, Zygmuncie?“ zapytała Alma. „Ożenisz się z Elżutką, — gdy mnie nie stanie! Może sądzisz, że się gniewam? — Nie, nie, — bądźcie szczęśliwi, wy poczciwi ludzie! Na moim grobie zakwitnie najpiękniejszy kwiat, który zdobi miejsce wiecznego spoczynku, — kwiat miłości!“

Alma ujęła Anielcię za rękę i przytuliła ją do piersi. Kazimierz zbliżył się na palcach i stanął obok Anielci.

„Moje dziecko“, — zawołała Alma, biorąc Kazimierza za rękę, — „to zapewne twój ukochany? O, zdaje mi się, że czytam w waszych sercach. — Młody, piękny mężczyzno, daj szczęście mojej córce. Kochajcie się zawsze w pogodnych i przykrych dniach. Będę czuwać nad wami! Nie będę więcej strachem zamku Sokolskich, — jak mnie nazywają sąsiedzi, — lecz dobrym opiekuńczym duchem i aniołem!“

„Aniołem, — tak, aniołem!“ zapłakał Zygmunt wzruszony do głębi, „opuszcza nas, anioł! My zaś, pozostający na tej ziemi, jesteśmy grzesznymi ludźmi!“

„Grzeszni ludzie!“ rzekła Alma, „Bóg zesłał miłość na odpuszczenie ludzkich grzechów! — Ach, żegnajcie! Czuję takie osłabienie, senność! Anielciu, Zygmuncie, podajcie mi wasze ręce, — Elżutko, pozwól mi złożyć głowę na twojej piersi, a ty przyszły mężu mojego dziecka, okryj mię kołdrą, bo mi zimno, — tak, strasznie zimno, — zanieście mię do domu!“

Alma umilkła nagle, — przewróciła oczy, — śmierć przychodziła wolno! Szczęśliwe konanie kobiety, która tyle wycierpiała, — konanie w otoczeniu najdroższych osób.

Zegar na kominie tykał monotonnie. Serce biednej obłąkanej biło coraz ciszej, aż wreszcie umilkło na zawsze. Zygmunt pochylił się nad zmarłą, przymknął jej powieki i złożył ostatni pocałunek na zimnych wargach.

„Nie płacz, moje dziecko“, rzekł do Anielci, która rzuciła się Kazimierzowi na piersi, „nie płacz, niech spoczywa w spokoju! — Za życia błądziła ustawicznie w mrokach, — teraz wznosi się nad nami i spogląda w niezbadaną jasność. Jej duch patrzy na nas, jako złożył ręce i modlił się do Stwórcy, opiekuńczy duch zamku Sokolskich!“

CCXI.

Szczęście w domu Sokolskich

W dwa dni później złożono Almę na miejsce wiecznego spoczynku. Pogrzebano ją w pałacowym ogrodzie. Trumna ginęła pod kwiatami. Gwiazdy zabłysły już na niebie, a Anielcia stała ciągle nad grobem swojej matki. Kazimierz spoglądał w milczeniu na uroczą postać młodej dziewczyny.

Wreszcie zbliżył się ku Anielci, wziął ją w objęcia i przytulił jej główkę do piersi.

„Moja Anielciu“, rzekł wzruszonym głosem, „dosyć się już napłakałaś. Opuść przybytek śmierci i chodź ze mną w słoneczną krainę szczęścia. Twoja mama życzyła sobie najwyraźniej, byś jej nie zakłócała spokoju. — W przyszłości będę twoją podporą. Żadne niebezpieczeństwo, ani boleść nie przerwie naszego wspólnego szczęścia. Anielciu, za kilka tygodni będziesz moją żoną.“

„Twoją żoną!“ powtórzyła Anielcia i ukryła zarumienione oblicze na jego piersi.

„Nieprawda, będziemy szczęśliwi?“ zawołał Kazimierz, „oh, powiedz mi jeszcze raz, moja najdroższa Anielciu, że mnie kochasz!“

Na twarzy młodej dziewczyny odbił się niewysłowiony zachwyt i słodkie upojenie.

„Czy cię kocham“, rzekła cicho Anielcia, „mój jedyny Kazimierzu? Zapytaj gwiazd, którym zwierzałam się w bezsennych nocach, — zapytaj kwiatków i szumu wiatru i tych łez, które wylałam za tobą. O, mój Kazimierzu, wkrótce połączymy się w miłosnym uścisku!“

„Tak jest“, odparł Kazimierz i spojrzał głęboko w oczy swojej dziewiczej narzeczonej. „Tak, Anielciu, i da Bóg nie rozłączymy się nigdy!“

Nad świeżymi wieńcami, zdobiącymi mogiłę, przeleciał lekki podmuch wiatru. Nad grobem biednej Almy stało dwoje ludzi trzymali się za ręce i patrzeli w gwiazdy, które świeciły tak jasno jak ich czysta miłość.

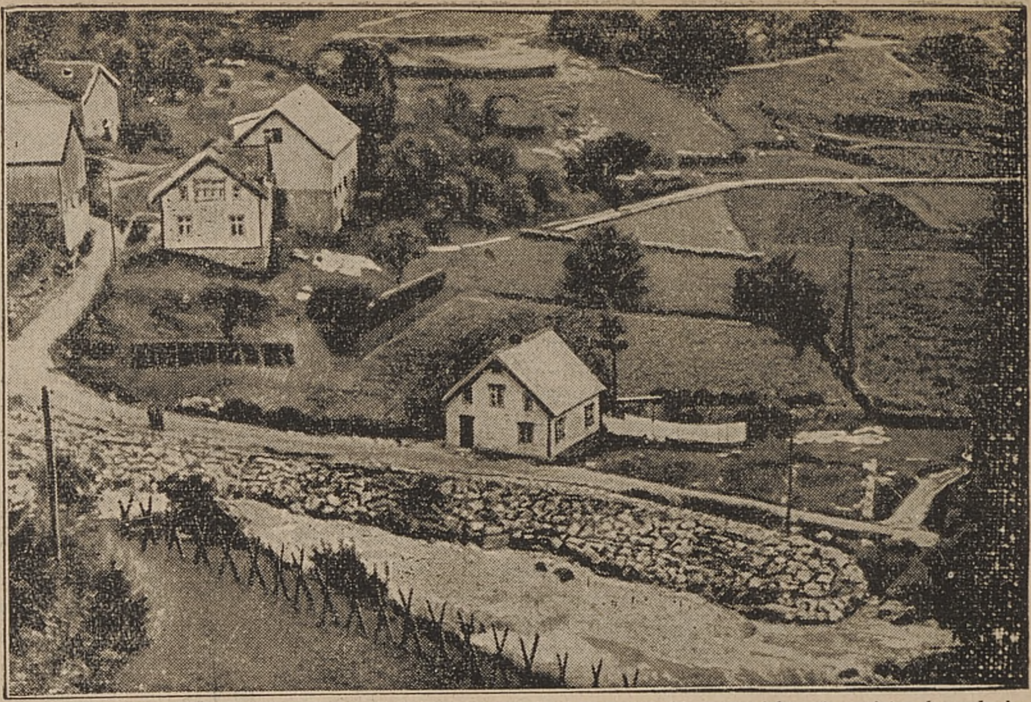
— — — — — —

W trzy miesiące później zamek Sokolskich błyszczał tysiącem świateł. Szczęście i radość panowały wszechwładnie w całym domu; obchodzono podwójne wesele, w którym brała udział cała rezydencja.

Hrabia Zygmunt prowadził Elżutkę, Kazimierz swoją Anielcię.

Stary Walenty odmłodniał przynajmniej o dziesięć lat. Kręcił się po domu, zaglądał wszędzie i opowiadał każdemu, kto tylko zechciał słuchać:

„Dzisiaj minęła żałoba i smutek w zamku Sokolskich! Wszystko zwróciło



W górzystej części Norwegii wydarzył się w tych dn iach dość niezwykły wypadek, mianowicie obsunął się tam jeden ze szczytów górskich.

się ku lepszemu. Dzisiaj święcimy początek szczęścia."

Wśród gości, przybyłych z daleka, znajdował się także Marceli Remy i Elżbieta Ravington. Anielcia i Elżutka cieszyły się nad wyraz, gdy droga przyjaciółka oznajmiła im swój zamiar, przeniesienia się do Polski. Dzień przed tem Remy kupił w księstwie wielką własność ziemską. Elżbieta chciała żyć w sąsiedztwie swoich przyjaciółek.

Gdy Zygmunt, Kazimierz i Remy wyszli po kolacji na papierosa do drugiego pokoju, Remy zwrócił się do obydwóch hrabiów i rzekł:

„Przy tak uroczystym dniu nię powinienem właściwie mówić o takiej wstrętnej rzeczy, lecz napewno zaciekawi panów dzisiejszą depesza, w której mi doniesiono, że Alfred Rober został wczoraj powieszony na podwórzu więzienia Tower. Musiano go przemocą zanieść pod szubienicę, gdyż ze strachu nie mógł stać na nogach."

„A doktor Morizano?" zapytał Zygmunt.

„Umarł," odparł Remy; „zwarjował w przytułku dla ubogich."

„Nie słyszano nic o Satanellim?" zapytał teraz Kazimierz.

„Nie", odparł Remy, „chociaż dowiadywałem się w Paryżu. Sprzedał swój dom i spieniężył wszystko. Powiadają, że wyjechał do Australji."

„Kto tam?" zawołał hrabia Zygmunt i zwrócił się ku drzwiom, na których było słychać ciche pukanie.

„Kto?" rzekł jakiś obcy głos, „przebaczcie państwo moją śmiałość, żem się odważył pić zdrowie wielmożnych panów."

I rzeczywiście był to Chaim Stieglic, ubrany w świąteczne szaty.

Anielcia nie zapomniała o nim i kazała go zaprosić na wesele. Hrabia Zygmunt, na prośbę Anielci, obdarzył go tak hojnie, że Chaim Stieglic mógł teraz otworzyć pierwszorzędny sklep w rezydencji.

Lady Elżbieta powiększyła znacznie ten dar hrabiego, a Chaim Stieglic został naraz zamożnym człowiekiem.

„Panowie, dopomogliście mi do szczęścia," zawołał młody żydek, „nie zapomnę tego nigdy! — Boże, nie myślałem, że na świecie istnieją tacy porządni ludzie. Czy chrześcianie, czy żydzi, — wszystko jedno, — gdy tylko każdy z nas ma Boga w sercu!"

W sali brzmiała jeszcze muzyka, gdy Kazimierz prowadził Anielcię do sypialni nowożeńców.

Na środku pokoju, pod dużym szklanym kloszem, leżała owa koronka, którą zrobiła Anielcia w zakładzie doktora Morizano.

„Ta pojedyńcza, jedwabna tkanina, — praca twoich białych paluszków," rzekł Kazimierz, spoglądając namiętnie na swoją młodą żonę, „zajmie pierwsze miejsce w naszym domu i spocznie nad naszemi głowami, gdy się udamy na spoczynek. Niech ta koronka będzie kosztownym skarbem i talizmanem zamku Sokolskich!"

„O ukochany Kazimierzu!" odparła Anielcia i złożyła gorący pocałunek na jego wargach, „nasza miłość niech zostanie talizmanem naszego pożycia, — miłość, którą Bóg zaszczepił w naszych sercach!"

Koniec.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 18 października 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja Nabożeństwa z Kolegiaty Szamotulskiej 12.03 Koncert rozrywkowy z udziałem Chóru Dana 14.30 Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 15.30 „Audycja dla wsi" 16.30 Oryginalna sielanka dźwiękowa „Walczyki panny Ludwiki" 17.00 Koncert Symfoniczny 19.00 „Literaci i mecenas" 19.20 Muzyka rozrywkowa (płyty) 21.00 „Na wesołej lwowskiei fali" 21.30 Utwory fortepianowe Sergiusza Prokofjewa w wykonaniu Bolesława Woytowicza 22.00 „Fantazje operowe operetkowe" 23.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 19. października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla dzieci 12.03 Koncert orkiestry wojskowej 12.40 „O niektórych trudnościach wychowawczych": „Samowola" 15.15 Utwory Georges'a Bizet'a (płyty) 15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.15 „Nowa pisownia" — wskazówki praktyczne 16.30 Utwory fortepianowe 17.00 „Od Leszczyńskiego do Konarskiego" — odczyt 17.15 Trio salonowe Polskiego Radia 17.50 „Lanital i tkaniny szklane" — pogadanka 18.50 „Co wam powiem o zdrowiu" — gawęda dla młodzieży wiejskiei 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Fryderyk Smetana: Kwartet Smyczkowy e-moll 20.00 Koncert muzyki jugosłowiańskiej 21.00 „Od Sygietyńskiego do Brzozowskiego" — wieczór literacki 21.30 Muzyka lekka 22.00 Koncert w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej P. R. 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 20 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 „Paderewski gra" (płyty) 15.15 Koncert w wykonaniu Orkiestry P. R. pod dyr. O. Straszyńskiego 16.30 Koncert w wykonaniu Zespołu Pawła Rynasa 17.00 „Profesor Kazimierz Twardowski" — wygł. prof. Kotarbiński 17.15 Muzyka 17.50 Monolog Juliana Tuwima 19.00 „Dyskutujmy: „Szkoła a życie" 19.20 Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Z. Górzyńskiego 20.00 Felieton muzyczny pt. „Życie koncertowe w epoce dyliżansu" 20.15 Koncert symfoniczny 22.30 „Od kłębka do nitki" szkic literacki 22.45 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 21 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert w wykonaniu Łódzkiej Orkiestry Salonowej 12.40 Kwasimy kapustę — pogadanka 15.15 Koncert popołudniowy w wykonaniu Orkiestry Symf. P. R. 16.10 „Dzieci i kwiaty" — reportaż muzyczany dla dzieci 16.30 Albert Sandler ze swoją orkiestrą (płyty) 17.00 „Szkoła rekruta, szkołą obywatelską' — odczyt 17.15 W ojczyźnie Rabindranatha Tagore" — reportaż muzyczny 17.50 „Spotkanie z Józefem Conradem" — pogadanka 18.50 „Stan dróg, a kieszeń rolnika" — pogadanka 19.20 Muzyka lekką 2.55 Koncert europejski z Belgii 22.00 Koncert chopinowski 22.30 Muzyka lekka i taneczna.

Czwartek, dnia 22 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla szkół powszechnych z Filh. Warsz. 12.40 „Czego unikać przy scalaniu gruntów" — pogadanka 15.15 Muzyka lekka (płyty) 16.20 „Kim jest twój tatuś? — Szoferem w autobusie" — audycja dla dzieci 16.35 Orkiestra P. R. pod dyr. Mieczysława Mierzejewskiego 17.00 „Rola pracodawcy w Niemczech" — reportaż 17.15 Dalszy ciąg koncertu w wyk. Orkiestry P. R. 17.50 „O listach Napoleona do Marii Ludwiki" 19.00 Premiera słuchowiska pt. „Magia liczb" 19.30 Recital fortepianowy Ray Lev 20.00 Rozwiązanie konkursu na zbieranie pieśni ludowych 20.30 „Na plantacji tytoniu" — reportaż 21.00 II-ga audycja z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich" — „Tadeusz Szeligowski" 21.45 Mała Orkiestra P.R. pod dyr. Z. Gorzyńskiego 23.00 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 23 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 „Wschodnie nastroje' w wyk. Zespołu Niny Mańskiej 15.15 Muzyka salonowa w wyk. Orkiestry Marka Webera 16.30 I-sza „Wiązanka pieśni ludowych śląskich" 17.00 „Bułgaria — kraj pieśni" — odczyt 17.15 Koncert solistów 18.50 „Na targowisku" reportaż 19.00 „Portret cesarza" — fragment z powieści 19.20 „Z pieśnią po kraju" 20.00 „Trochę muzyki angielskiej" — koncert 21.00 Muzyka salonowa (płyty) 21.28 Włoskie pieśni ludowe (Transmisja z Włoch) 22.00 Ryszard Strauss: Kwartet Fortepianowy c-moll op. 13 22.30 „Ogródek udręczeń" — skecz 22.45 Mała Orkiestra P.R.

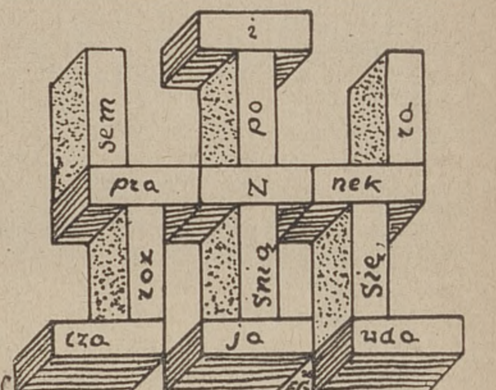
Sobota, dnia 24 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 „Śpiewajmy piosenki" 12.03 Koncert rozrywkowy 14.30 Teatr Wyobraźni dla dzieci starszych: „Mapa" 15.15 Muzyka baletowa (płyty) 16.15 Zespół Pawła Rynasa 17.00 Serenady w wyk. Witolda Łuczyńskiego 17.20 Utwory Fortepianowe na 4 ręce 19.00 Audycja dla Polaków 19.30 Koncert rozrywkowy 21.00 Recital skrzypcowy Efrema Zimbalisty 21.30 Koncert wieczorny w wyk. Orkiestry Symfonicznej P.R. 22.00 „Rzewna opowieść o Miłości Rymwida i Azalii" 22.30 Muzyka taneczna.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Układanka klockowa

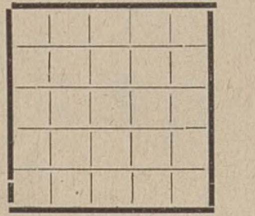
uł. F. Gałecki.



Rozrzucić powyższą figurę i klocki z sylabami ułożyć tak, aby odczytać piękną myśl. Dla ułatwienia podajemy początkowe litery poszczególnych słów: z—c—p—i—p—r—s.

Kwadrat magiczny

pod. „Eros".



1 2 3 4 5

Wyrazy pomocnicze: 1) In. mały chłopiec 2) Scena w cyrku 3) Malarz francuski ostatniej doby (fonet) 4) In. lewatywa 5) Ustrój państwa w Rosji.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązanie należy nadsyłać do piątku 23. 10. br.

Rozwiązanie zadań z nr. 40 „Moich Powieści": Łamigłówka sylabowa: „Nie ten jest egoistą, co od ludu stroni, lecz ten, co za ludźmi, jak za łupem goni". Bilety wizytowe: Instruktor, buchalter, rozbójnik.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Joanna Zdziebkowska — Skalmierzyce Nowe, Antoni Damasiewicz — Płońsk, Witold Kawczak — Gdynia, Józefa Klingerówna — Warszawa, R. Pawlak — Grodzisk, Anna Walczakówna — Nowy Sącz „Eros".

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Annie Walczakównie z Nowego Sącza i Piotrowi Pawlakowi z Grodziska.

HUMOR

Odkryte zdolności

Małżonek do swej młodej żonki:

— W przeciągu pięciu dni już czwarta przypalona pieczeń! Powinnaś pracować w krematorjum!

Rachunek

W restauracji przy płaceniu:

— Panie starszy, omylił się pan na swoją niekorzyść.

— Mianowicie?

— Doliczył pan do rachunku datę, a dziś mamy 24-go a nie 22-go.

Rozczarowanie

— Cóżeś taki wściekły?

— Ach, wyobraź sobie, w ubiegłym tygodniu zginęła mi waliza na dworcu i zażądałem tysiąca złotych odszkodowania.

— I odmówiono ci?

— Nie, waliza się znalazła!

Egzamin

Profesor: Przypuśćmy, że ktoś odmroził sobie nogi. Jakie zastosowałby pan zabiegi?

Kandydat: Nacierałbym mu nogi śniegiem.

Profesor: Bardzo dobrze. Ale gdyby nie było śniegu pod ręką, gdyby np. zdarzyło się to latem, kiedy niema śniegu...

Na temat wojny

— Poszedłbyś ty na wojnę?

— Poszedłbym!

— I nie bałbyś się prochu i kul?

— Co mi kule po dziesięcioletniej wojnie małżeńskiej!

W sądzie

— Czemu oskarżony przywłaszczył sobie ten zegarek?

— Szedłem sobie i widzę, zegarek też idzie... Więc pomyślałem sobie, a może poszlibyśmy razem?

Otwarty

— Jak się masz Zbysiuniu?

— Dziękuję, ciociu, dobrze.

— No, teraz należy zapytać się, jak ja się mam.

— A poco ciociu? Mnie to nic a nic nie obchodzi.

Ostrożny!

Pewien murzyn trzymał krowę, którą zezewaty miał zabić siekierą. Gdy murzyn spostrzegł oko zezowatego zapytał bojaźliwie:

— Czy ty chcesz tam uderzyć, gdzie patrzysz?

Na co zezowaty odpowiedział: — Tak.

— No to trzymaj sobie sam tę krowę — odrzekł murzyn.

Powód

Lokator z poddasza oburza się na podwyższenie mu komornego.

— To skandal — woła do gospodarza — tylko mnie pan podwyższył, a najskromniejsze mam pokoiki i najmniej wygód w całym domu, mieszkając najwyżej.

— Na to zgoda — odpowiada gospodarz — ale najwięcej zużywa pan moje schody.

Dobrane małżeństwo

— Jak pan zapyta o mnie, to niech Józia powie, że wyjechałam do chorej ciotki.

— Pan nie będzie wcale pytał.

— Dlaczego?

— Bo wyjechał... do chorego wujka.

Wiek nieroztropny

— W jakim wieku ożenił się pan?

— Nie pamiętam, ale w każdym bądź razie nie był to wiek roztropny.

W sklepie

Uczeń do szefa:

— Był to jeden z klientów, panie szefie.

— Czego chciał?

— Chciał panu dać kilka razy w twarz spowodu dostarczenia mu złego towaru.

— A cóżeś odpowiedział?

— Przykro mi niezmiernie, ale szef jest nieobecny w tej chwili.

Literatura stosowna

Jakiś starszy zażywny jegomość (sądząc z wyglądu ziemianin), przegląda w księgarni „Życie pszczół" Maeterlincka. Wreszcie po paru minutach zwraca się do sprzedawcy:

— A czy nie ma pan czasem czegoś w tym samym rodzaju o krowach?

W szkole

Nauczyciel: — Kupiec sprowadził z Francji 100 litrową beczkę wina. Wino to rozlał w butelki, po 0,6 litra w każdej. Ile butelek wina uzyskał kupiec po rozlaniu w butelki?

Uczeń: — Czterysta.

Nauczyciel: — Głupi jesteś, nie znasz rachunków!

Uczeń: — Ale znam kupca.

W komisarjacie

— Już wielu ludzi widziałem w życiu, ale jeszcze nie spotkałem nikogo, ktoby był większym pijakiem od was.

— Pan przodownik mi pochlebia.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zeumlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.